SOBOTA
Nr 70 13 VI 1981 Cena 1,50 zł

ŚWIAT MŁODYCH

HARCERSKA GAZETA NASTOLATKÓW

UWAGA SYMPATYCY FUTBOLU!

Już w następnym numerze (wtorkowym) „Świata Młodych" ukaże się regulamin tegorocznego wakacyjnego turnieju piłkarskiego o puchar naszej redakcji. Nie przegapcie okazji!

PAMIĘĆ O NICH NIECH NIGDY NIE ZGINIE

W Szkole Podstawowej nr 3 im. Krzysztofa Kamila Baczyńskiego w Legnicy – odbyła się uroczystość wręczenia sztandaru tej szkole.

Na uroczystości była obecna cioteczna siostra K.K. Baczyńskiego – pani Aniela Kmita-Piorunowa. W wystąpieniu m. in. zaapelowała ona do młodzieży legnickiej „trójki" o włączenie się do akcji zbierania funduszy na budowę Pomnika Powstania Warszawskiego.

Wszyscy pamiętamy telewizyjne wystąpienie red. Edmunda Męclewskiego, w którym zwrócił się on do całego społeczeństwa o poparcie jego propozycji, dotyczącej budowy Pomnika Łączniczki. Muszę przyznać, że przyjąłem ten apel ze wzruszeniem. Nadszedł bowiem czas, by utrwalić pamięć tysięcy bezimiennych dziewcząt, które ginęły za wielką sprawę – za Polskę. Propozycja ta jest bliska szczególnie nam – harcerzom, ponieważ część korpusu łączniczek stanowiły kilkunastoletnie harcerki, które swe obowiązki wykonywały do ostatnich chwil życia.

Z kolei jeden z warszawskich oddziałów PTTK wystąpił z propozycją budowy Pomnika Powstania Warszawskiego. Również i ta akcja, nie powinna się odbyć bez udziału harcerzy, zwłaszcza, że nasi harcerscy poprzednicy z „Szarych Szeregów" zapisali się złotymi zgłoskami na kartach historii walk powstańczych. Harcerze walczyli w powstaniu mężnie jak przystało na spadkobierców idei przyświecających powstańcom z Powstania Listopadowego i Styczniowego.

W związku z tym zwracam się do wszystkich zastępów, drużyn i szczepów, zwracam się do wszystkich harcerzy i instruktorów harcerskich, wesprzyjmy materialnie budowę obu tych pomników! Niech pamięć nasza o bohaterskich łącznikach i dzielnych powstańcach nigdy nie zginie, póki my żyjemy!

Z harcerskim pozdrowieniem
CZUWAJ!
pwd Mariusz Pociejkin

Zatoka śmierci

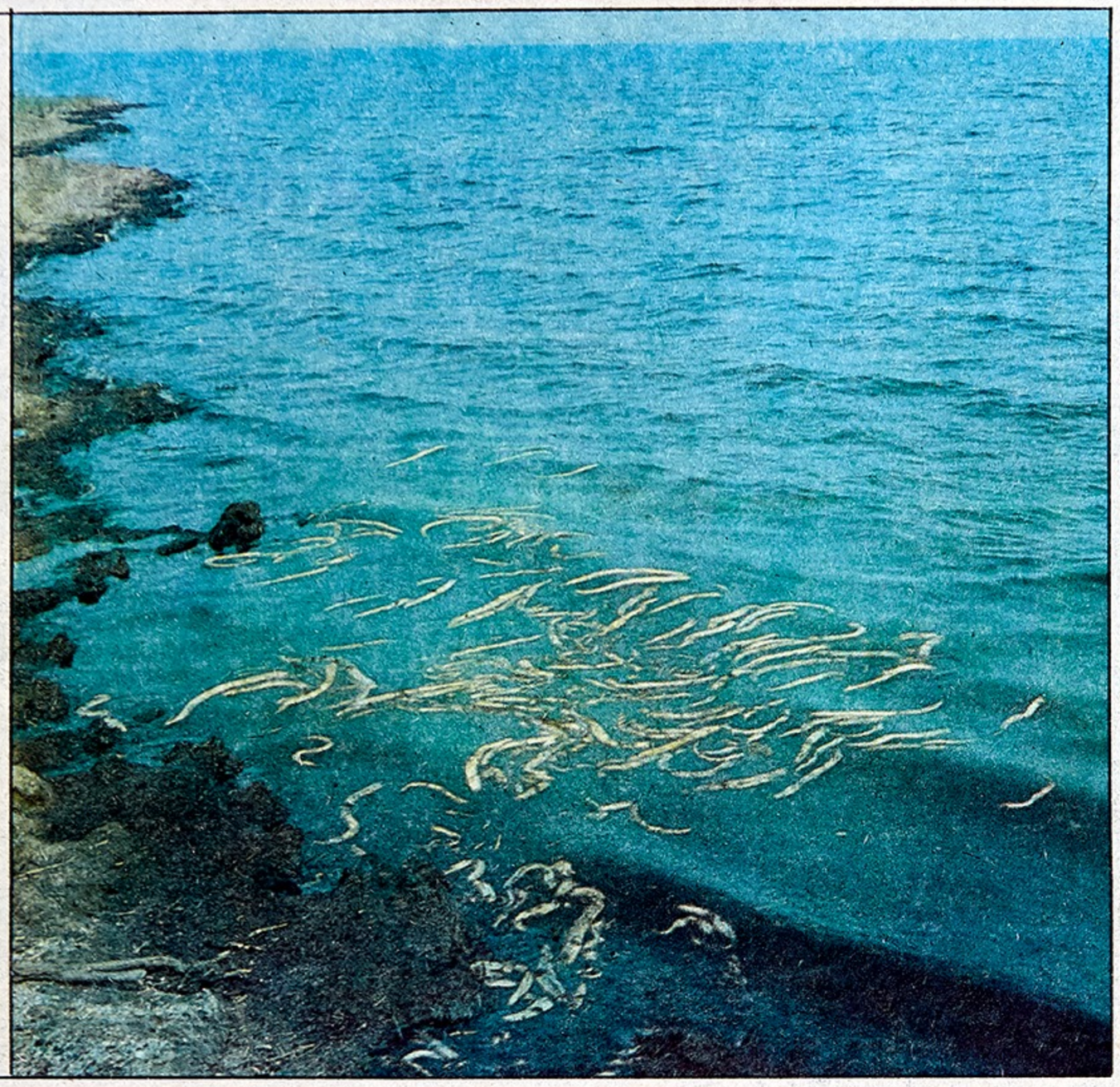

Wody Zatoki Gdańskiej skażone są bakteriami groźnymi dla zdrowia ludzkiego.

Gnijące wodorosty nasycone oleistą mazią na plażach.

Śnięte węgorze wyrzuca morze bez przerwy – będzie to robiło jeszcze przez kilka tygodni tym intensywniej im szybciej wzrasta temperatura wody.

Gnijące ryby – forpocztą zarazy.

Rybacy muszą z czegoś żyć. W ostatnich dwóch miesiącach wyłowili około 30 ton chorych węgorzy i zakopali w ziemi. Co robić z innymi rybami łowionymi w zatoce?

Zatoka zmienia się w osadnik ścieków, spływających w 94 procentach Wisłą z całego kraju.

Cały Półwysep Helski i Puck odprowadza ścieki nieoczyszczane.

NA WSZYSTKICH PLAŻACH OBOWIĄZUJE ZAKAZ KĄPIELI.

Aktualny stan gdańskiego wybrzeża na parę dni przed rozpoczęciem wakacji obejrzycie w fotoreportażu Wojciecha Wróblewskiego na str. 5.

Czy wiecie co to za ulica? Ci, którzy byli w Gdańsku – wiedzą: Mariacka na Starówce. Ci, którzy oglądają w telewizji „Buddenbrooków" też wiedzą: uliczka w Lubece, przy której mieszkają bohaterowie powieści Tomasza Manna. I jedni i drudzy mają rację. Bowiem jedna z najpiękniejszych w Europie – gdańska ulica Mariacka posłużyła za tło do wielu scen popularnego serialu.

Fot. **Wojciech Wróblewski**

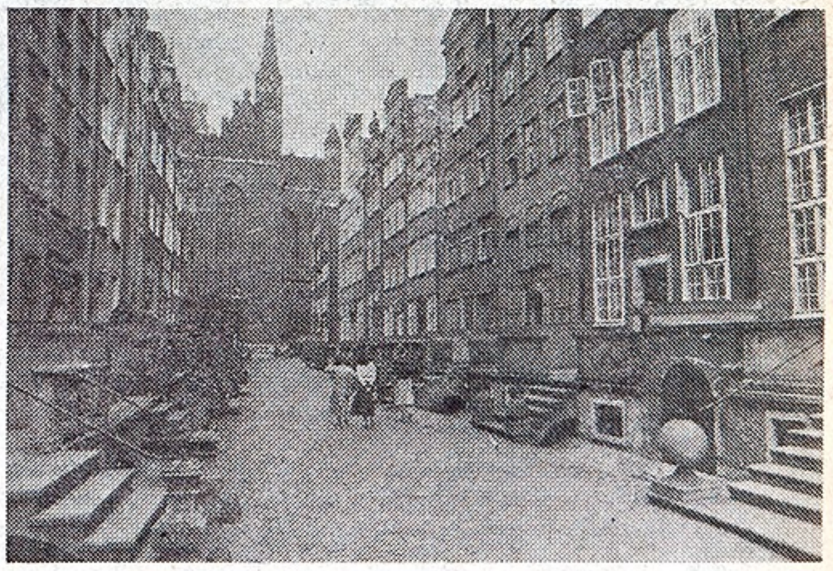

W ZASTĘPIE

Do ważnych harcerskich obrzędów należy święto zastępu. A właściwie może to być cały szereg świąt. Na przykład – rocznica przyrzeczenia, dzień pierwszego udanego biwaku, urodziny najmłodszego członka zastępu, rocznica przyznania nazwy zastępowi. Tego dnia odbywa się w zastępie uroczysta (ale nie drętwa!) zbiórka, pełna niespodzianek i ciekawych pomysłów, rozpala się ognisko, zaprasza gości z drużyny, szczepu, kogoś z rodziców. Ale można i we własnym gronie to już od Was zależeć będzie i od rangi święta zastępu. Taki dzień bardzo pomaga zastępowi zżyć się, związać, zbliżyć. Spróbujcie...

BUDUJEMY TIPI – INDIAŃSKI DOM

Indiańskie tipi – to marzenie wielu zastępów spędzających razem lato. A tymczasem wcale nie tak trudno je zrealizować. Najtrudniejsze – to zdobycie 12 odpowiednich żerdzi oraz sporej ilości materiału na pokrycie. Nie podajemy na rysunkach wymiarów – musicie je dostosować do Waszych możliwości i potrzeb; w każdym razie tipi musi być tak wysokie, by najwyższy z Was, stojąc w środku, nie dotykał głową do schodzących się stożkowato żerdzi. Rys. A pokazuje, jak musi wyglądać płachta tipi (rozłożona) oraz dwa szczegóły: jak wzmocnić naroża płacht zamykających „otwór dymny" oraz jak związać z gałęzi otwór drzwiowy. Kolejne fazy stawiania tipi pokazują rysunki 1, 2, 3 i 4. Najpierw ustawiamy 3 podstawowe żerdzie, mocno wbijając je w ziemię i silnie je związujemy u szczytu (rys. 1). Między nimi umieszczamy 6 pozostałych żerdzi (rys. 2). Dziesiąta żerdź ma przywiązaną płachtę (rys. 3), którą następnie obciągamy cały szkielet i sznurujemy nad drzwiami. Płachtę u dołu przywiązujemy do każdej żerdzi oraz kołkujemy śledziem typu „kulka". Rozpinamy dwoma ostatnimi żerdziami otwór dymny (rys. 4) i tipi jest gotowe; przedstawia je rys. B. Płachtę na pokrycie można zeszyć z kawałków np. starego brezentu, resztek płacht namiotowych lub starych koców.

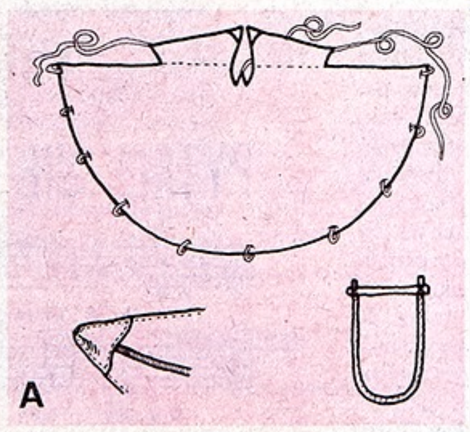

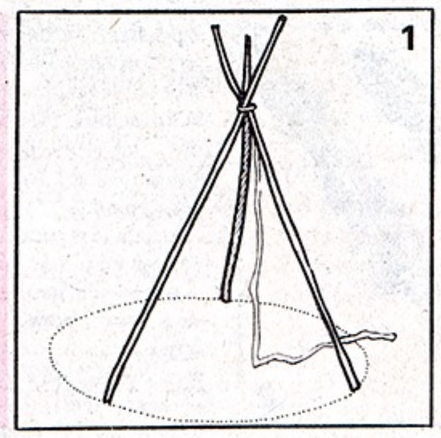

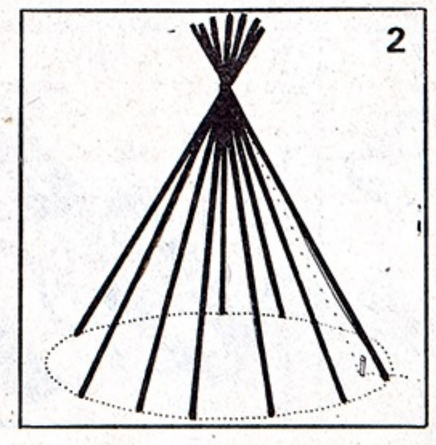

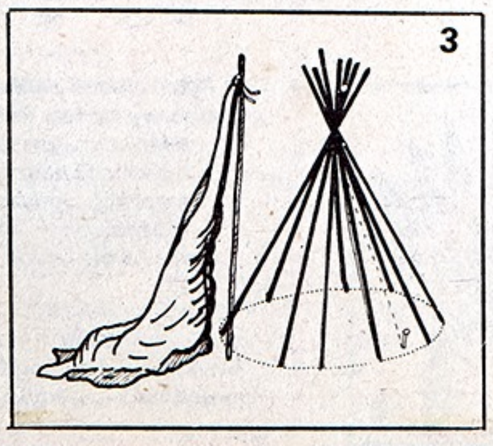

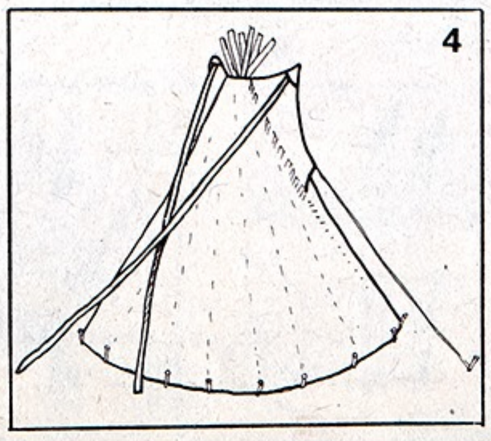

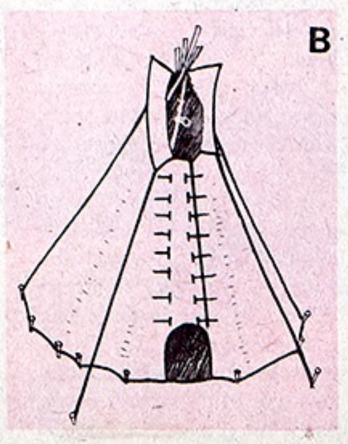

zastęp, zbiórka!

- **INDIAŃSKI PIÓROPUSZ – JAK GO WYKONAĆ PRAWIE Z NICZEGO**
- **INDIAŃSKIE TIPI – NAMIOT Z 12 ŻERDZI I PŁACHTY**
- **PIOSENKA DLA ZASTĘPU: „PYTALI SIĘ NAS..."**

REDAKCYJNA POCZTA

Poradźcie mi – jak rozstać się z Beatą?

Mieszkam w internacie w jednym pokoju z Jolą i Beatą. Beatę znam od dawna, bo mieszkamy w tym samym mieście. Uważam jednak, że Jola jest fajniejsza. Znamy się dopiero kilka miesięcy, ale mogę z nią porozmawiać o wszystkim, co dla mnie jest ważne. Beata bardzo lubi wyśmiewać się z innych (szczególnie w obecności chłopców). W naszym pokoju co chwila wybuchają kłótnie. Beata upiera się przy swoim, choć nie ma racji. Myślałam, że może to moja wina, że to ja jestem taka niezgodna, ale z Jolą nie kłóciłam się ani razu. W przyszłym roku szkolnym nie chcę mieszkać z Beatą,. Nie wiem jednak jak powiedzieć o tym jej i rodzicom. Rok temu mama Beaty zapowiedziała nam, że koniecznie musimy mieszkać razem. Poza tym mój tatuś przyjeżdża po nas gdy jedziemy do domu, a tata Beaty odwozi nas do internatu. Nasi rodzice znają się bardzo dobrze. Jak im wytłumaczyć całą sprawę? Jak powinnam postąpić w stosunku do Beaty? Nie chcę mieć w niej śmiertelnego wroga.

„Bieta"

Czekamy na listy

Jesteśmy braćmi i chcielibyśmy nawiązać korespondencję z rówieśnikami. Teraz coś o nas. Starszy z nas, Darek, ma 16 lat i uczęszcza do technikum elektrycznego. Młodszy, Krzysiek, ma 15 lat i po skończeniu szkoły podstawowej wybiera się do szkoły zawodowej. Będzie przygotowywał się do pracy jako kierowca-mechanik. Jesteśmy, najogólniej mówiąc, przeciętnymi chłopakami. Interesujemy się modelarstwem i wszystkim innym po trochu. Jeżeli ktoś zechce do nas napisać, to bardzo prosimy.

Dariusz i Krzysztof Żywiccy

Piszcie i malujcie, ale nie na ścianach!

W moim bloku nawet wielkie, świąteczne sprzątanie nie zmieniło wyglądu klatki schodowej. Jesienią była odmalowana i czysta. Teraz, po upływie kilku miesięcy, jest odrapana i oszpecona, często nieprzyzwoitymi malunkami. Zastanawiam się, co komu przyjdzie z tego, iż obwieści na ścianie: „Marek kocha Ankę" albo „tu mieszka Ewa Mazur". Takich „pisarzy" i „malarzy" ściennych jest chyba bardzo wielu, bo bazgrołów wciąż przybywa. Myślę, że nie tylko mnie przeszkadzają pomazane klatki schodowe. Napisz, „Redakcyjna Poczto", o tej sprawie. Może ci malarze od siedmiu boleści zastanowią się nad tym co robią.

Joanna

Nie zgadzam się z Elą!

Chciałam zabrać głos w sprawie listu Eli („ŚM" nr 38). Nie zgadzam się z twierdzeniem, że dziewczyny których adresy zostały zamieszczone w „Kąciku Przyjaciół", chcą korespondować jedynie z chłopakami i tylko z osobami mieszkającymi w wielkich miastach. Ela tak napisała, bo jest zawiedziona: nigdy nie otrzymała odpowiedzi od adresatów swoich listów, choć oni zapewniali, że odpowiedzą na każdy. Pisząc do osób, które szukają korespondencyjnych przyjaciół, nie warto liczyć na to, że na pewno otrzyma się odpowiedź. Osoby, których adres został wydrukowany w „Redakcyjnej Poczcie", nie mogą korespondować ze wszystkimi, którzy do nich napisali. Do dalszej korespondencji wybierają sobie autorów tych listów, które najbardziej ich zainteresowały. Jeśli ktoś pisze nieciekawe listy, to długo może nie mieć szczęścia w znalezieniu korespondencyjnego przyjaciela. Moje listy do koleżanek i przyjaciół zawsze są pogodne, staram się w nich opowiadać o sobie i ciekawych sprawach. Pewnie dlatego rzadko zdarza się, że nie otrzymuję odpowiedzi. Może mój list pomoże Eli nawiązać fajne korespondencje. Życzę jej tego serdecznie.

Barbara

O czym w „KP"?

Popieram pomysł Beaty o założeniu „Kącika Przyjaciół". Ale... No właśnie, jedna rzecz nie bardzo mi się podoba. Np. dziewczyna pisze, że ma piwne oczy, długie włosy, ile waży. Czy takie szczegóły są istotne w zawarciu korespondencyjnej znajomości? Dziewczyny! Piszcie do „Kącika Przyjaciół" lecz niech to nie będzie biuro matrymonialne dla młodzieży. Ja mam 16 lat i również chciałabym nawiązać korespondencję za pośrednictwem „KP", ale dla mnie nie jest ważne, jak będą wyglądać ci, którzy zechcą do mnie napisać. Po prostu lubię fajnych, wesołych ludzi.

Katarzyna Hibner

Patrzę, widzę, opisuję
MÓJ ŚWIAT 80–81

JAKBY TO BYŁO DOBRZE, GDYBY MIĘDZY DZIEĆMI Z MIASTA, A DZIEĆMI ZE WSI NIE BYŁO TAKIEJ RÓŻNICY

Mam 14 lat. Chodzę do ósmej klasy w Pobiedziskach. Uczę się dobrze, chciałabym być krawcową. Razem ze mną ósmą klasę kończy brat, starszy o rok ode mnie. Mam jeszcze siostrę, która chodzi do piątej klasy.

Mieszkam z rodzicami na wsi. Tatuś mój jest mechanikiem, mamusia pracuje sezonowo w suszarni zielonek. W Pomarzanowicach mieszkamy dziewięć lat. Podoba mi się nasza wieś. Jest u nas Zakładowy Dom Kultury, przy którym istnieje ludowy zespół pieśni i tańca, do którego ja należę. Często odwiedzają naszą wieś goście ze Związku Radzieckiego. Jest dużo nowych domów, pięknie opłotkowanych, latem kolorowo od kwiatów. Choć ludzie ciężko tutaj pracują, znajdują czas aby zadbać o przydomowe ogródki.

Jedno mnie tylko smuci, że mimo tylu pobudowanych nowych mieszkań, my się gnieździmy w jednym pokoju z kuchnią w starym zagrzybionym mieszkaniu i często chorujemy, co nam przeszkadza w nauce. W domu nie mam gdzie odrabiać lekcji, toteż chodzę do świetlicy w Domu Kultury, stół w pokoju służy bratu, a siostrze w kuchni. Chciałabym abyśmy dostali większe mieszkanie, gdzie miałabym własny kącik tylko i wyłącznie dla siebie, własną półkę na książki. Mamy ich bardzo dużo bo rodzice uważają, że powinniśmy dużo czytać, więc książki czasem sama kupuję z kieszonkowego, czasem dostaję od rodziców. Do szkoły wożą nas autobusem, również przywożą. Czasem sobie myślę jadąc do szkoły jak by to było dobrze, gdyby między dziećmi ze wsi, a dziećmi z miasta nie było takiej różnicy. Wprawdzie jest to niewielka różnica – ale jest. Dzieci z miasta są pewniejsze siebie, bardziej wygadane, więcej przedsiębiorcze.

Nasza klasa jest mieszana ale wydaje mi się, że między chłopcami ta różnica się zaciera, co nie powiem o dziewczynach, tu jednak jest to odczuwalne. Chciałabym niektóre dziewczynki z miasta zaprosić do siebie, porozmawiać na interesujące nas tematy, ale nie ma miejsca u nas, i mimo że mamy ładnie umeblowany pokój zawsze czyściutki, to jednak się krępuję kogokolwiek zaprosić do starego mieszkania. Wiem jak mieszkają moje koleżanki, nie chcę żeby widziały, że nie mam łazienki, że nie mamy drugiego pokoju. Jest to dla mnie i dla mojego brata problem numer jeden, kiedy będzie rozwiązany nie wiem, wiem tylko jedno i słyszę w telewizji o niesprawiedliwym podziale mieszkań. Myślę, że podobnie postąpiono z moją rodziną. Słyszę nieraz rozmowy rodziców na tematy gospodarcze mojego kraju, mojej wsi, słyszę o niegospodarności, zresztą sama widzę ile siana się zmarnowało na rowach, a przecież gdyby to wykorzystać...

Życie na wsi w moim odczuciu jest cięższe niż w mieście, my musimy pomagać rodzicom przy wykopkach czy przerywce buraków cukrowych, często kosztem nauki. Mamy też gorsze warunki materialne jak niejedna rodzina w mieście. Chociaż my dostajemy wszystko, no prawie wszystko to co chcemy i to, co rodzice uważają, że powinniśmy dostać. Brat ma motorower, ja dostanę maszynę elektryczną do szycia (choć gdzie ją dostać, jeździmy wszędzie nigdzie nie ma). Dlaczego nie ma? Przecież maszynę do szycia powinna mieć każda rodzina, tak jak ma pralkę czy telewizor, radio i lodówkę. Myślę, że w podobnej sytuacji jest niejedna dziewczyna, która chce zostać krawcową. Czemu chcę zostać krawcową? Otóż uważam, że umieć szyć to najbardziej przydatne w życiu. Biorę wzór z mojej mamusi, która skończyła technikum mleczarskie, ale w naszej wsi nie może dostać pracy w swoim zawodzie mimo że pobudowano piękną fermę krów. Lepiej się wiedzie mojemu tatusiowi, który przez osiem lat potrafił zdobyć uprawnienia na kombajn Bizon, na piłę mechaniczną i na wiele jeszcze innych urządzeń, ale to nie moja dziedzina – nie znam się na tym. Wolę o czym innym pisać.

Nasza wieś jak słyszę jest rozwojowa, jest kawiarnia, jest pralnia, łaźnia, przedszkole, stołówka, ale brakuje nam gabinetu lekarskiego i dentystycznego, może w przyszłości i to będzie. Jest też co sobotę dyskoteka, ale ja prawie nie chodzę bo przychodzi tam czasem młodzież pijana.

Właśnie problem alkoholizmu w naszej wsi. Widzę nieraz, i to przeważnie w dzień wypłaty, ojców moich koleżanek, a czasem i mojego pod sklepem z winem. Dlaczego tego nie zlikwidują. Niech będzie w tym sklepie więcej artykułów spożywczych zamiast butelek z piwem i winem. Ale to sprawa starszych, nie mnie ich sądzić. Chciałabym aby uspokoiło się w naszej wsi i w kraju, bo tak jak jest obecnie to tylko dyskusje w szkole, w domu, na podwórku. Ten by chciał tak, a tamten inaczej. Uważam, że my siedzimy na beczce prochu, i tak dłużej nie może być. Gdybym była starsza, za jednym zamachem przecięłabym ten węzeł. Mniej dyskusji, więcej pracy. My musimy się uczyć, chcemy się uczyć, ale spokojnie. Zła jestem kiedy widzę poirytowanych rodziców, kiedy się spierają, co nam dały związki zawodowe..., ile tracimy przez strajki..., do czego to wszystko doprowadzi... Mimo że mam tylko czternaście lat rozumiem niektóre problemy gospodarcze, co nie znaczy, że się z nimi zgadzam. Słyszę „Nasze spotkania" w telewizji po dzienniku i nie do radości mi. Kiedy to się skończy? Trudne czasy – mówią rodzice, ale i to minie, tak mówią.

Hanka

JAK ZROBIĆ INDIAŃSKI PIÓROPUSZ?

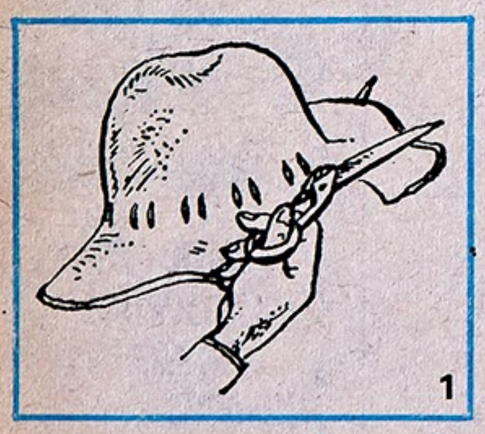
1

2

Potrzebne będą pióra, oczywiście – jak najdłuższe: gęsie, indycze, ale również kacze, gołębie lub kogucie. Przyjrzyj się dobrze rysunkom – przedstawiającym kolejne fazy wykonywania pióropusza. Stary kapelusz (może być również damski) przygotowujemy tak, jak pokazuje rys. 1 – tzn. odcinamy rondo z przodu i robimy szereg nacięć na dolnym obwodzie „główki" kapelusza. Sposób przygotowania pęczków piór pokazuje rys. 2. Jedno długie pióro oraz kilka krótszych, puchowych, ujmujemy wzdłuż do wysokości stosiny w pasek grubszego materiału (ze starych domowych ścinków), owijamy kawałkiem filcu odciętego uprzednio z kapelusza i całość ściągamy w dwóch miejscach mocnym szpagatem. Na rys. 2 na prawo widzisz gotowe pióro; rysunek jest nieco schematyczny, w rzeczywistości puchowych piórek powinno być w każdym pęczku więcej i o różnej długości. Pęczków piór robimy tyle, by dość gęsto przytwierdzić je do pióropusza. Rys. 3 pokazuje sposób nawlekania pęczków piór na skórzany rzemyk, przetykany przez przecięcia w „główce"; by pióra nie chwiały się, trzeba je przymocować do „główki" cienkim szpagatem. Pęczki piór puchowych przymocowujemy także w okolicach uszu tak, by zwisały ku dołowi. Piór nie malujemy – lepiej niech będą pstre, ale naturalne. Jeśl. dysponujesz piórami różnobarwnymi rozmieść je w pęczkach tak, by patrząc na pióropusz z przodu – równa ich ilość znajdowała się z lewej i prawej strony. Ze względu na to, że koralikowa wyszywanka jest bardzo pracochłonna, lepiej jest „czoło" pióropusza ozdobić kawałkiem jasnej wzorzystej krajki. Do najwyższych piór można przykleić kosmyki włosia końskiego, wtedy pióropusz będzie wyglądał niemal jak prawdziwy.

3

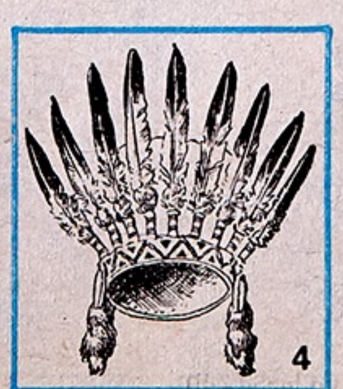
4

Piosenka dla zastępu

PYTALI SIĘ NAS

Słowa i muzyka: J. Osińska (pseudonim „Anna Pestka)

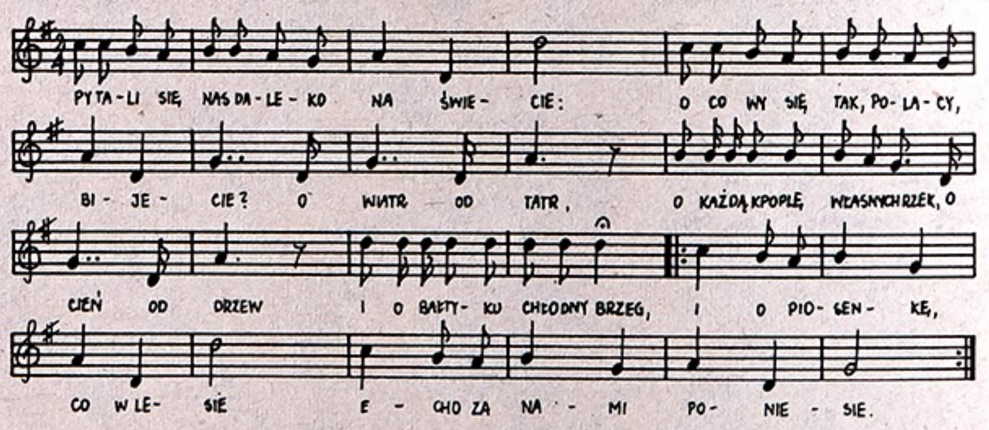

2. Pytali się nas daleko na świecie:
o co wy się tak, Polacy, bijecie?
o lśnienie... gwiazd,
o wolność naszych własnych dróg,
o spokój... gniazd
i każdej chaty niski próg.
Refr.: I o piosenkę... itd.

3. Pytali się nas daleko na świecie:
o co wy się tak, Polacy, bijecie?
O błękit... nieb,
o naszych ojców stopy ślad,
o własny... chleb
i o ten nowy lepszy świat!
Refr.: I o piosenkę... itd.

Piosenka chłopców z 21 Warszawskiej Drużyny Harcerzy, którzy brali udział w konspiracji i Powstaniu Warszawskim jako członkowie 2 batalionu artylerii przeciwlotniczej AK. Autorka, która od 1939 r. była sekretarką KPH przy 21 WDH napisała tę piosenkę pod koniec 1943 r., dedykując ją swoim młodym przyjaciołom.

TRZY INDIAŃSKIE PIÓRA „LATA 81"

NAL

Słynne długie pióropusze z orlich piór noszone przez Indian prerii wkładano tylko przy uroczystych okazjach, zwłaszcza do święta tańca słońca. Możesz zrobić sobie podobny pióropusz: opis jego wykonania znajdziesz w dzisiejszym odcinku „Zastęp, zbiórka!"

Na co dzień Indianom wystarczało jedno lub kilka piór odpowiednio przyciętych i umocowanych we włosach. Były one oznaką męstwa i rangi zajmowanej w danej grupie. „Świat Młodych" proponuje Ci i grupie, z którą spędzasz tegoroczne lato, zdobycie TRZECH PIÓR:

- PIÓRA ODWAGI,
- PIÓRA POMOCY,
- PIÓRA PRZYGODY.

Pióro pierwsze – odwagi – będą nosili ci, którzy mają odwagę mówić prawdę, nie boją się lada strachów i nocnych szmerów, stają po stronie pokrzywdzonych, umieją stawiać czoła przeciwnościom;

Pióro drugie – pomocy – ci, którzy chętnie pomagają innym: rodzicom, kolegom, maluchom – w pracy, w działaniu, w potrzebie, nawet wtedy, gdy będzie to pierwsza pomoc w opatrzeniu rozbitego kolana;

Pióro trzecie – przygody – kto weźmie czynny udział w wyprawie waszej paczki do lasu, spędzi choćby jeden wieczór przy biwakowym ognisku, zorganizuje ciekawą grę w terenie lub rozgrywki sportowe.

Resztę – pozostawiamy Waszej pomysłowości i... sumieniu. Życzymy ze ŚWIATEM MŁODYCH" zdobycia trzech piór. Howgh! Powiedzieliśmy!

HISTORIA PRAWDZIWA „SIEDZĄCEGO BIZONA"

Urodził się w indiańskiej wiosce nad Wierzbowym Strumieniem, na ziemiach Północnej Dakoty. Nikt nie zapamiętał, nikt nie zanotował, w którym to było roku. Wiemy natomiast, iż w 1831 miał zaledwie kilka lat. W tamtym to właśnie roku na wioskę, w której mieszkał wraz z rodzicami, napadli wojownicy Ojibwayów, przybyli z Minesoty. Liczyli na bogate łupy, na broń, konie, niewolników. W czasie walki zginął jego ojciec – naczelnik wioski, jeden z pomniejszych wodzów narodu Dakotów (zwanych popularnie przez białych Siouksami) z odłamu Teton. Ojciec zwał się Skaczący Bizon.

Chłopiec pozostał na wychowaniu matki i jej brata – czarownika plemiennego, Czerwonego Orła. Mały chłopak, jedynak i półsierota, otrzymał wówczas imię Hakada, co znaczyło: Ostatni Godny Pożałowania.

Kiedy minęło trzynaście lat od tamtych tragicznych wydarzeń, Czerwony Orzeł postanowił wykształcić Hakadę na swego następcę.

Pewnego ciepłego ranka trójka czerwonoskórych opuściła wioskę: Czerwony Orzeł, jego syn – Deszczowa Twarz i siostrzeniec – Hakada. Pojechali z biegiem nurtu Missouri. Kiedy dotarli do podnóży potężnych gór – rozbili obozowisko, ale spokój wieczornego posiłku zakłócony został niespodziewanym pojawieniem się samotnego bizona. Niebezpieczne spotkanie, bo w przeciwieństwie do stad bizonów, zwierząt raczej płochliwych i uciekających na widok człowieka, bizony-samotniki należą do stworzeń złośliwych, rzucających się w zaciekłym ataku na każdego, kto zastąpi im drogę.

Pierwszy wypuścił strzałę z łuku Deszczowa Twarz, ale pocisk tylko zranił i rozwścieczył bizona. Wówczas Hakada porwał swą włócznię i cisnął nią trafiając w bok bizona tak potężnie, iż zwierzę unieruchomił. Jednak bizon, zamiast runąć na ziemię, podkurczył pod siebie zadnie nogi i powoli ...siadł. I tak zastygł martwy w tej dziwacznej, nie spotykanej wśród bizonów pozycji. Wówczas Czerwony Orzeł nadał Hakadzie nowe imię: Tanaka Yotanaka, co znaczyło: Siedzący Bizon.

Wieść o tym wydarzeniu rozniosła się szeroko wśród plemion czerwonoskórych, dotarła do fortów obsadzonych przez wojska Stanów Zjednoczonych. Tam szybko przetłumaczono indiański przydomek na język angielski: Sitting Bull...

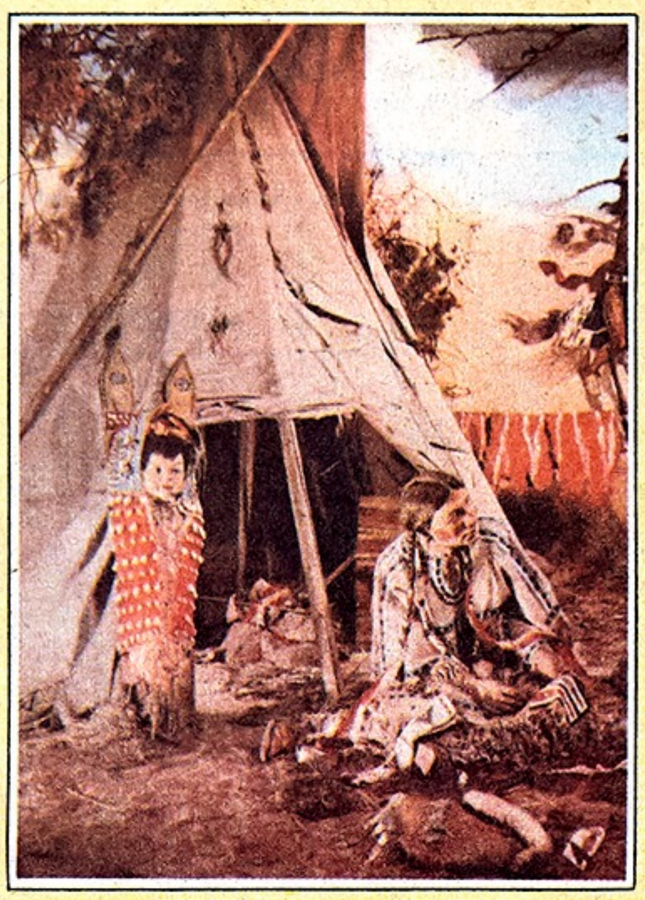

Przez kilka lat Sitting Bull pobierał naukę od Czerwonego Orła. Kiedy ukończył piętnaście lat, został przyjęty do grona wojowników, a po nagłej śmierci Czerwonego Orła otrzymał godność czarownika. Miał wówczas zaledwie siedemnaście lat i nie znano w historii Indian wypadku, by tak młody wojownik uzyskiwał tak wysoko cenioną godność. Ale w sześć lat później zdarzyła się rzecz jeszcze bardziej dziwna: Sitting Bull został wybrany naczelnikiem szczepu Hunkpapa, narodu Teton-Dakota. Skończył wówczas 23 lata. Dysponował ponad tysiącem wojowników...

W roku 1862, w wyniku napierania wojsk i białego osadnictwa na Dziki Zachód, część szczepów Dakotów zerwała się do walki przeciw najeźdźcom. Sitting Bull nie brał w niej bezpośredniego udziału, uważając, iż przy słabym uzbrojeniu Indian w broń palną, odniesienie zwycięstwa jest niemożliwe. I nie mylił się. Po pierwszych sukcesach nastąpiły klęski. Powstanie upadło. Zwycięskie wojska białych doszły do granicy rzeki Missouri. Zbudowały szereg fortów, ściągnęły osadników. Wkrótce poszczególne grupy białych poczęły przenikać za rzekę, na zachód. Bez przerwy trwały podjazdowe walki.

Do otwartej wojny doszło wiele lat później, w roku 1876, gdy wojskowa wyprawa dotarła do pasma Czarnych Gór. Wśród oddziałów kawalerii specjalną grupę stanowiły oddziały generała George'a Armstronga Custera. Starły się one z wojownikami Dakotów nad rzeczką Little Big Horn i poniosły kompletną klęskę... Stało się to 26 czerwca 1876 roku.

Po tym zwycięstwie, które było dziełem Sitting Bulla, część plemienia Dakotów (Siouksów) wycofała się do Kanady, gdzie znalazła opiekę i schronienie. Jednak w roku 1881 Sitting Bull wrócił do Stanów i – jak głosi legenda – zginął w walce z wojskami białych nad Grand River, 15 grudnia 1889 roku. Czy tak było naprawdę – nie sposób dziś sprawdzić. Niektórzy z historyków twierdzą, iż Sitting Bull został podstępnie zastrzelony w rezerwacie Dakotów...

WIESŁAW WERNIC

Spod pióra tego autora wyszedł szereg popularnych powieści z Dzikiego Zachodu: „Tropy wiodą przez prerię", „Szeryf z Fort Benton", „Słońce Arizony", „Colorado", „Płomień Oklahomy".

JĘZYK INDIAŃSKICH GESTÓW I ZNAKÓW

Około 150 języków indiańskich na kontynencie obu Ameryk różni się od siebie tak zasadniczo – pisze E. Lips w „Księdze Indian" – że sami tubylcy amerykańscy wymyślili niejeden język gestów dla umożliwienia międzyszczepowych kontaktów. Największe zastosowanie miał język gestów wśród licznych szczepów stykających się ze sobą na prerii, a mówiących różnymi językami. Gesty były dość obrazowe. Np. pojęcie „Indianin" wyrażano przez dotknięcie prawą ręką lewej ręki lub policzka, co oznaczało „ten sam kolor skóry". Białego człowieka określano gestem pokazującym kapelusz na głowie; namiot – dwoma ukośnie złożonymi palcami wskazującymi. Oznaczano nawet pojęcia abstrakcyjne, np. „podły" – za pomocą gestu odrzucania (rys. 1), a „kłamstwo" – za pomocą gestu pokazującego, że mowa rozchodzi się w dwie strony, podczas gdy droga prawdy powinna być jedna (rys. 2). Rys. 3 – „witaj!", rys. 4 – „daj mi!", rys. 5 – „woda do picia", rys. 6 – „na koniu", rys. 7 – „pada deszcz".

Na odległość komunikowano się za pomocą sygnałów dymnych lub migotania lusterkiem; na równinach zataczano konno określone figury. Np. „wróg" oznaczała jazda zygzakiem lub bieg zygzakiem, tak jak zachowuje się uciekający Indianin.

W OCZACH IM WSPÓŁCZESNYCH

Bystrym obserwatorem Indian był ks. Giuseppe Bressani. Już w roku 1653 pisał o nich:

„Barbarzyńcami są oni tylko z nazwy. Nie ma wręcz najmniejszego powodu, aby wyobrażać ich sobie jako półzwierzęta, dzikie, nieokrzesane, obrzydliwe. Zwłaszcza za młodu nie mają oni zbyt ciemnej barwy skóry, są silni, rośli, dobrze zbudowani i zdrowsi od nas. Nie ma wśród nich karłów ani garbatych, otyłych ani ludzi dotkniętych wolem. Na podziw zasługują u nich szczególnie cztery cechy. Po pierwsze, odznaczają się doskonałymi narządami zmysłów (świetnie widzą, wspaniale słyszą, mają muzykalne ucho i subtelne powonienie, a czucie ich jest wzmocnione dzięki tłuszczom stosowanym przez nich do pielęgnacji skóry). Po drugie, umieją się zdobyć w potrzebie na zadziwiającą siłę; mogą głodować przez 10 do 15 dni, bez narzekań znoszą zimno, gorąco, ból i choroby... Po trzecie, mają godny uwagi zmysł orientacji, potrafią po opisaniu im drogi iść samotnie w puszczę i nie pobłądzić. Po czwarte, odznaczają się doskonałą pamięcią; potrafią wyliczyć sto i więcej podarków, powtórzyć dokładnie uchwały narad i pamiętają tysiąc innych szczegółów, których my na pewno nie moglibyśmy spamiętać bez zapisywania..."

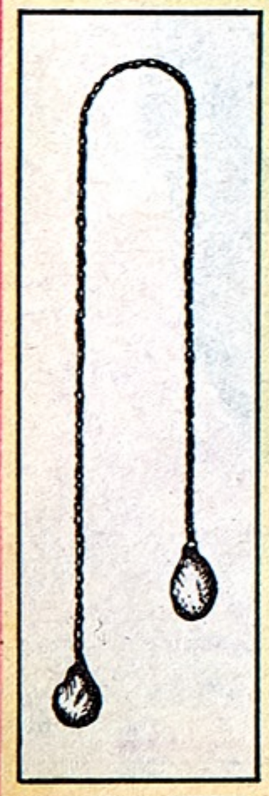

Dwie gry niemal indiańskie

KTO LEPIEJ RZUCA „BOLĄ"?

Bola była bronią myśliwską Indian Ameryki Płd. – jeden lub parę rzemieni, na końcach których umocowane były owinięte w skórę kamienie (patrz rysunek). Myśliwy rozkręcał silnie bolę nad głową i rzucał w zwierzynę. Owijając się wokół kończyn lub szyi, bola paraliżowała ruchy zwierzęcia. Spróbujcie zrobić bolę sami; kamienie można zawinąć w ścinki materiału lub kawałek gumy ze starej dętki od roweru. Rzemienie zastąpimy mocnym sznurkiem. Z takiej samej odległości jak przy „łapaniu mustanga" oraz do tego samego celu będziemy rzucać bolą. Czyja okręci się wokół palika większą ilość razy – ten wygrywa.

JAK ZŁAPAĆ MUSTANGA?

W środku koła o średnicy 10 metrów wbity jest palik wysokości 1,5 metra. „Indianie" kolejno rzucają lassem spoza obwodu koła, starając się zarzucić pętlę na palik i zacisnąć ją na nim. Każdy ma prawo do trzech rzutów. Jeśli uda mu się za pierwszym razem, otrzymuje 3 punkty, jeśli dopiero za drugim – 2 punkty, natomiast za trzecim – tylko 1 punkt. Zwycięzca ma prawo naszyć sobie na „czole" swego pióropusza muszelkę lub kolorowy guzik. Opis wykonania lassa zamieściliśmy na str. 30 „Zastęp, zbiórka!"

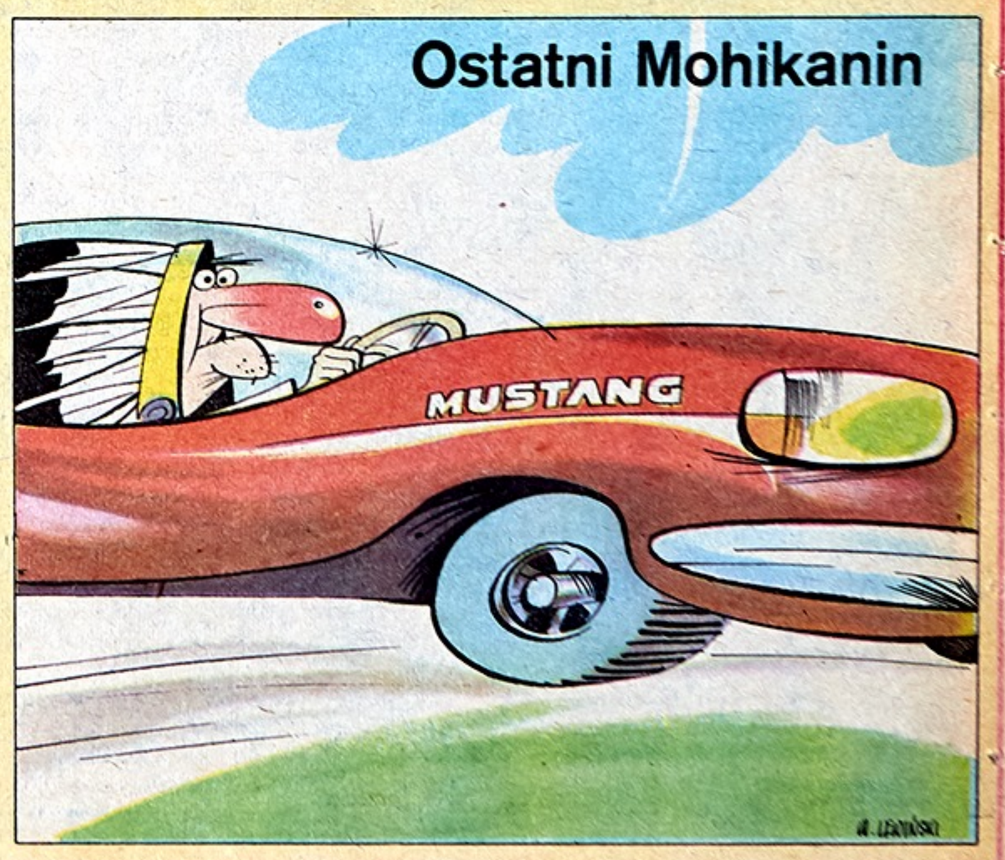

Harcerz spieszy innym z pomocą,
nie opuści nikogo w potrzebie

W ODPOWIEDZI NA APEL POLSKIEGO KOMITETU MIĘDZYNARODOWEGO ROKU INWALIDÓW I OSÓB NIEPEŁNOSPRAWNYCH

I CO DALEJ...?

Czwartek, godz. 15. W Komendzie Hufca Warszawa-Żoliborz rozpoczyna się dyżur Pogotowia „Harcerze – Seniorom". Dh Marzena Lubańska odbiera telefoniczne zgłoszenia osób starszych, które dzisiaj potrzebują pomocy młodzieży.

– **Prowadzimy tę akcję ponad cztery lata** – mówi komendant hufca Bożena Strzałkowska – **w poniedziałki i czwartki dyżuruje w komendzie jeden ze szczepów żoliborskich. Od osoby przyjmującej zgłoszenia telefoniczne harcerze otrzymują karteczki z adresami i odwiedzają swoich seniorów.**

Zaglądam do starannie prowadzonej kroniki Pogotowia. Data: 21 października 1976 r. Wpisane nazwiska i adresy osób, które zgłosiły się telefonicznie do Pogotowia, a także nazwiska harcerzy i rodzaj udzielonej pomocy. Okazuje się, że harcerz wszystko potrafi: poza tak prozaicznymi czynnościami jak zakupy, przyniesienie węgla, czytanie gazet, czy zdjęcie walizki z szafy, jest nawet uszczelnianie okien watą, naprawa radia. Pod datą 15 listopada 1976 r. przy nazwisku pewnej starszej pani widnieje adnotacja – zmarła.

– **Średnia wieku naszych podopiecznych to 70–80 lat** – mówi Marzena Lubańska – **w niektórych przypadkach pomoc naszych harcerzy już nie wystarcza. Potrzebna jest fachowa opieka, np. sióstr PCK.**

– Czuwaj! Jesteśmy ze Szczepu 252, meldujemy się na dyżur.

– Czuwaj! Która klasa?

– Czwarta.

– Który raz na dyżurze? – Marzena jest trochę zatroskana.

– Pierwszy – odpowiadają harcerze.

Gdy opuszczają Komendę zaopatrzeni w karteczki z adresami, Marzena mówi, że woli jednak do tych zadań starszych harcerzy. Młodsi mają więcej zapału, więcej serca wkładają w tę akcję, ale nie do wszystkich domów można ich skierować, niektórzy podopieczni są kapryśni, trudno im dogodzić.

Spora grupa żoliborskich seniorów od dawna jest zaprzyjaźniona z hufcem. Na przykład pan Stanisław Ćwil. Harcerze odwiedzają go już piąty rok, regularnie, dwa razy w tygodniu.

– **Nie zamieniłbym moich harcerzy na najbardziej fachową opiekę siostry z PCK. To jest młodość, wnoszą do mojego domu życie, radość. Zakupami to ich raczej nie obarczam, ale jak przyjdą to zawsze coś smacznego mi przygotują: a to zrazy nelsońskie, a to kotleciki siekane, do tego kartofelki, zawsze nakryją ładnie stół i jemy razem obiad. Jestem inwalidą, nie mam ręki i z gotowaniem zupełnie sobie nie radzę. Potem opowiadam im o swoich przeżyciach wojennych, z Powstania Warszawskiego. Bardzo są zainteresowani. Piszę książkę – czytają moje maszynopisy.**

Dzisiejszy dyżur w żoliborskim hufcu dobiega końca. Do komendy wracają harcerze i meldują o wykonaniu zadań. Miny mają zadowolone. Na ogół były to jakieś drobne zakupy, odkurzanie mieszkania, wyprowadzenie pieska na spacer. Chociaż jest już godz. 17 jeszcze dzwoni telefon – to pani Tarnowska, korzystająca także regularnie z pomocy harcerzy. Zawsze po odwiedzinach dzwoni do Komendy, dziękuje za pomoc, ocenia pracę harcerzy.

Laureat „Złotych Koziołków" film Stanisława Jędryki „Zielone lata" jest jednym z nielicznych obrazów fabularnych dla dzieci z ostatnich lat, który świetnie godzi treści wychowawcze z pasjonującą akcją i niesie z sobą ładunek historycznej wiedzy

Fot. **R. Sumik**

NIEPOKOJE I NADZIEJE PO VII FESTIWALU FILMÓW DLA DZIECI I MŁODZIEŻY

Czy błyśnie słońce po burzy?

Nagrody zostały rozdzielone bez specjalnych wahań i wątpliwości. W odczuciu widzów – małych i dorosłych – sprawiedliwie, ale co z tego?

Tegoroczny poznański festiwal filmowy, który odbył się w ramach Biennale był, jak to ujął przewodniczący jego jury – reż. Mieczysław Waśkowski, manifestacją słabości. Mimo to, zaraz po zakończeniu przeglądu zwróciłam się do niego z prośbą o szczegółową ocenę stanu filmowej twórczości dla młodego widza, a także z pytaniem o jej perspektywy. Pewnym optymizmem napawał bowiem fakt, że po raz pierwszy w Poznaniu tak głośno mówiło się nie o sukcesach, lecz o bolączkach i słabościach. Burza zapowiada zwykle piękną pogodę...

– Co jest źródłem katastrofalnej sytuacji w twórczości filmowej dla dzieci i młodzieży?

– Nikt nie neguje, ani władza, ani społeczeństwo, ani też zainteresowane strony, pilnej potrzeby realizowania programu wychowania i kształcenia dziecka przez film. Jest to we współczesnym świecie metoda niezbędna, bo obraz z ekranu przemawia przecież niezwykle silnie. Sama telewizja gromadzi przed odbiornikami miliony widzów. Sprawozdania Zjednoczenia Rozpowszechniania Filmów też mówią wyraźnie, że 60 proc. widowni, to młodzież. Starsi do kina chodzą rzadko, bo mają telewizory i reumatyzm. Kino żyje z młodzieży i to jest czynnik ekonomiczny wystarczający, by robić filmy dla tej grupy widzów. A istnieje jeszcze czynnik pedagogiczny, wychowawczy, społeczny, polityczny... „Taką będziemy mieli Polskę, jak młodzieży chowanie". Tymczasem potężny wychowawczy instrument – kamera filmowa, nie jest mądrze wykorzystany, czego smutnym dowodem były również pokazy w Poznaniu.

– Jaka istnieje szansa na wyjście z obecnego kryzysu?

– Twierdzę, że nie jest to sprawa pieniędzy, bo budżet naszej kinematografii przeznacza się często na produkcję lub zakup filmów nikomu niepotrzebnych. Nawet jeżeli film jest dobrze przyjęty przez krytykę jako ambitny, ale zbiera zaledwie 30–50 tys. widzów, to go po prostu nie ma, nie funkcjonuje w świadomości społecznej! Filmy dla dzieci i młodzieży mają natomiast zapewnioną widownię. Tyle że ich produkcja musi być właściwie zorganizowana. Dzieło przeznaczone dla określonego odbiorcy musi być specjalnie pomyślane. Jest więc trudniejsze do zrealizowania. Do zajmowania się tą wyspecjalizowaną twórczością potrzebny jest reżyserowi psycholog, pedagog, socjolog i lekarz. Potrzebny jest kierownik literacki, który zna książki dla dzieci. Jednym słowem wyspecjalizowany zespół – sztab ludzi, którzy film wypieszczą i ukierunkują tak, by bezbłędnie trafiał do widza. Postulowałem jego powstanie wielokrotnie na spotkaniach z ministrem kultury i sztuki, wiceministrem d/s kinematografii i innymi władzami.

– Co wynikło z tych pertraktacji?

– Deklarację utworzenia zalążku zespołu w postaci np. studia scenariuszowego minister zaakceptował. Mamy więc możność zaangażowania fachowej grupy ludzi, którzy od dawna przejmują się problemami filmu dziecięco-młodzieżowego. Tu, w Poznaniu rozmawiałem z wybitnymi znawcami przedmiotu. Teraz będziemy mogli zjednoczyć nasze wysiłki, a rezultaty tego będą, mam nadzieję, widoczne już w tym roku.

– Na kogo spośród twórców może liczyć film młodzieżowy?

– Kandydatów do realizowania przygotowanych przez specjalistów materiałów jest wielu. Sam pamiętam rozmowę z Waidą i Hassem, którzy twierdzili, że chętnie by odpoczęli chwilowo od filmów dla dorosłych. Jest też cała masa młodych reżyserów. Jest Marczewski, autor pięknej filmowej adaptacji „Zmór", jest Idziak, który zrobił „Naukę latania", będą i inni, którzy przyjdą prosto ze szkół, i starzy reżyserzy, którzy mają jeszcze coś do powiedzenia. Krótko mówiąc: jeśli ta produkcja byłaby ukierunkowana w sposób fachowy i kompetentny, to dzisiejszy stan rzeczy – trzy filmy fabularne na festiwalu będącym przeglądem dwuletniej produkcji – nie miałby miejsca!

– W tym momencie warto chyba, by przewodniczący jury uzasadnił festiwalowy werdykt...

– No cóż, w wypadku filmów startujących w kategorii filmu fabularnego jury nie miało, niestety, specjalnie trudnego zadania, bo... nie było w czym wybierać. **Złote Koziołki otrzymał St. Jędryka za udany film „Zielone lata", Srebrne przyznano W. Fiwkowi za film „Jeśli serce masz bijące"* i dwie III nagrody – Koziołki Brązowe dla Wiktora Skrzyneckiego za TV film „Mysz" i Janusza Łęskiego za serial TV. „Klusownik".**

– W konkursie przegrały więc tylko dwa filmy: „Kłamczucha" Anny Sokołowskiej i serial TV Grzegorza Warchoła „Gazda z Diabelnej". Ale za to było w czym wybierać w wypadku filmu animowanego...

– Tak, i to jest powód do zadowolenia. Wprawdzie animacja nie była tak „wystrzałowa" jak byśmy tego chcieli, ale twórcy filmów animowanych także mają powody do narzekań. Tym niemniej obejrzeliśmy w Poznaniu dzieła na bardzo przyzwoitym poziomie. **Złote Koziołki** otrzymał piękny **film Eugeniusza Strusa „Apetyt",** w którym autor z dwóch kawałków plasteliny stworzył dwa odrębne charaktery Grubego i Chudego – wg klasycznego flipo-flapowskiego wzoru komediowego. Zrodzone z fantazji figury obdarza cechami ludzkimi i żonglując nimi wyzwala wyobraźnię dziecka. **Srebrne Koziołki** przypadły **Krzysztofowi Kiwerskiemu za film „Jasio".** Tu reżyser narzuca z kolei widzowi własną wyobraźnię, tworząc doskonale spointowaną współczesną bajkę. Film jest popisem maestrii animacji, plastyki i wyobraźni, a równocześnie barwną przypowiastką z morałem o futurologii. A **Koziołki Brązowe** otrzymali: **Ryszard Antoniszczak za „Kalejdoskop Miki-Mola" i Stanisław Lenartowicz za film „Jak w bajce".** Były też nagrody specjalne. Jury uhonorowało film „Zabawa" – pracę zbiorową reż. Jadwigi Kędzierzawskiej z plastykiem Wiesławem Karolakiem, który zorganizował w plenerze przepyszną zabawę dzieci z ogromnym płótnem, a pani Kędzierzawska ten koncert na płótno i wiatr sfilmowała. Wart wyróżnienia wydał się też jury zabawny film Józefa Ćwiertni i Adama Hajduka „Kapitan Pyk-Pyk". Dyplomy otrzymały jeszcze filmy: „Cyferki", „Jaworowi ludzie" i „Koń".

Słuszne laury przypadły Redakcji Filmów dla Dzieci i Młodzieży w Komitecie d/s Radia i Telewizji za mądre wspieranie produkcji filmowej dla młodego widza.

* * *

I to już w miarę pełny obraz tegorocznego festiwalu filmów dla dzieci i młodzieży. Może nie jest on całkiem czarny, ale też i nie różowy. Podobno w ostatnich latach filmy krótkometrażowe na taśmie 16 mm traktowano jako nieartystyczne i przestano robić ich kopie! Wspominał o tym przy okazji Biennale reż. Ryszard Rydzewski. Reżyser Tadeusz Wilkosz z kolei, zwrócił uwagę, że na festiwalu ogląda się najciekawsze pozycje kinematografii dla najmłodszych, ale niewiele z tych filmów, nawet spośród nagrodzonych, trafia potem do masowego widza. Podobno... ale precz z pesymizmem. Miejmy nadzieję, że tym razem będzie zupełnie inaczej. Po burzy w końcu musi ukazać się słońce!

EWA BIELSKA

*) **recenzje nagrodzonych filmów fabularnych były już zamieszczone w „Świecie Młodych".**

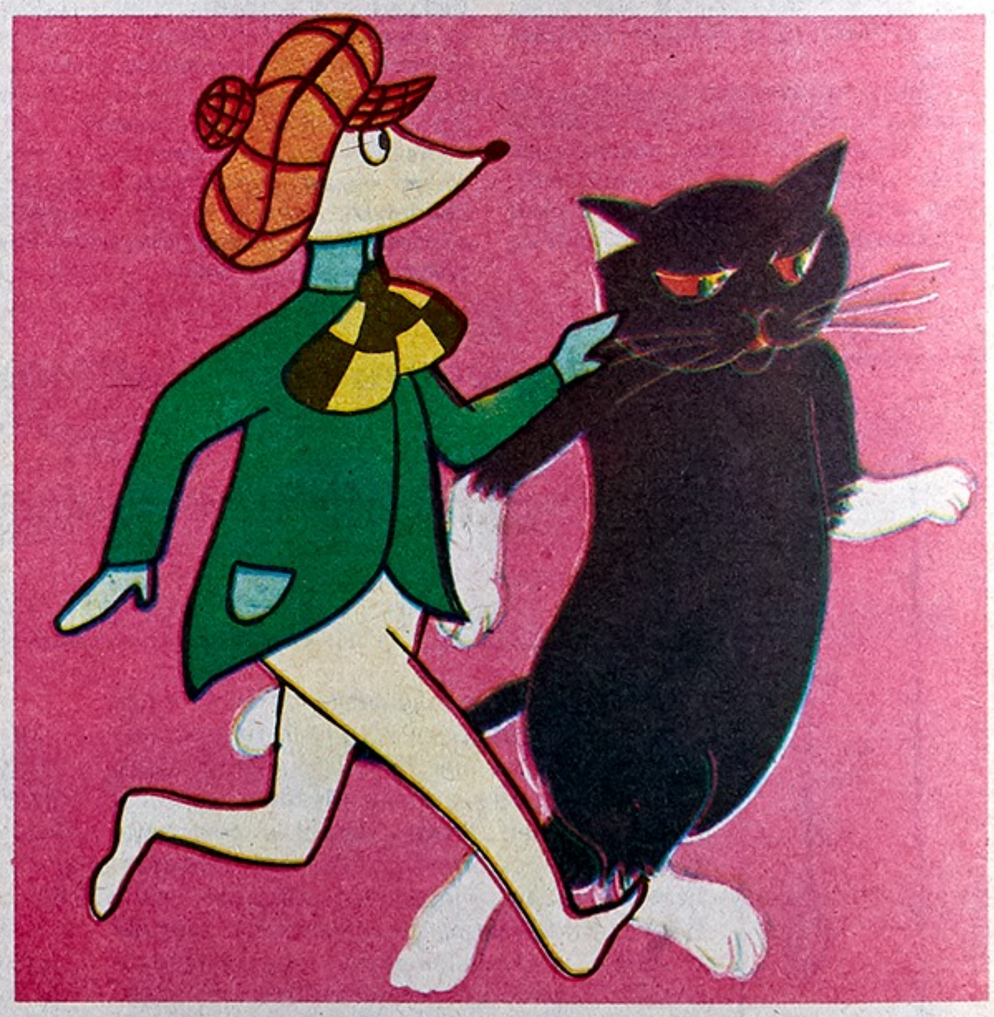

„Tajemnica szyfru Marabuta" był jedynym pełnometrażowym filmem rysunkowym przedstawionym na Biennale. A szkoda!

Fot. **archiwum**

Seniorzy z Żoliborza dziękują swym młodym opiekunom jak tylko potrafią. Przysyłają do hufca kartki z życzeniami świątecznymi, pozdrowienia, podziękowania, nawet czekolady.

***

Organizacja Narodów Zjednoczonych ogłosiła rok 1981 Rokiem Ludzi Niepełnosprawnych. W naszym kraju, tak jak we wszystkich Państwach Członkowskich ONZ, został powołany Polski Komitet Międzynarodowego Roku Inwalidów i Osób Niepełnosprawnych, któremu przewodniczy profesor Jan Szczepański. W ramowym programie działania Komitetu znalazł się m. innymi taki punkt: ***„Rozwinięcie szerokiej akcji mobilizującej opinię publiczną dla okazywania inwalidom i osobom niepełnosprawnym większego zrozumienia i pomocy. Pełne uczestnictwo każdego z nas w życiu zbiorowym zależy od gotowości współpracy innych ludzi. Dlatego ważnym zadaniem Komitetu będzie prowadzenie intensywnej propagandy i akcji uświadamiającej, zwalczającej postawy obojętności, nieżyczliwości, a czasem wręcz okrucieństwa wobec osób niepełnosprawnych".***

Sekretarz Polskiego Komitetu Międzynarodowego Roku Inwalidów i Osób Niepełnosprawnych, pani Karolina Marszałowa, w rozmowie z reporterem „Świata Młodych" nie ukrywa, że bardzo wiele obiecuje sobie po harcerzach. Profesor Jan Szczepański apel do zuchów, harcerzy i instruktorów Związku Harcerstwa Polskiego kończy zdaniem: ***Wiemy przecież „że wszystkim jest z zuchem dobrze" i „że harcerz spieszy innym z pomocą, nie opuści nikogo w potrzebie".*** Apel ten, wprawdzie nie w całości, przedrukowała nasza gazeta w połowie maja. Znalazło się w nim zobowiązanie: **„Sprzedawcy w sklepach będą powiadomieni o Waszej akcji i udzielą potrzebnej pomocy".** Gdy Wasz reporter odwiedzał żoliborskie sklepy, a więc w dzielnicy, w której praca harcerzy dla osób niepełnosprawnych ma już swoją piękną tradycję, okazało się, że kierownicy sklepów nic nie wiedzą o tej akcji, nie było żadnego rozporządzenia.

Jak to się mówi, sprawa gdzieś utknęła, tak jakby dorośli niezbyt poważnie wzięli sobie do serca sprawę, którą chcieliby poruszyć serca dzieci i młodzieży. Kierownik Działu Organizacji i Techniki Sprzedaży na cały Żoliborz, pani Sybilska, mówi, że na pewno takie rozporządzenie jeszcze nie dotarło do niej, ale już od jutra żoliborscy harcerze będą mogli robić zakupy w pięciu wydzielonych sklepach na Żoliborzu, w tych samych, w których robią zakupy siostry PCK i opiekunki społeczne.

– Proszę, oto wzór upoważnienia, jeśli hufiec wyda takie pisemko harcerzowi, który ma zrobić zakupy, na pewno nie będzie miał żadnych kłopotów – mówi p. Sybilska.

Okazuje się, że sprawa jest prosta, do załatwienia od ręki. Jednak Żoliborz jest jedną z wielu dzielnic Warszawy, a apel Komitetu był skierowany do wszystkich polskich harcerzy. Czekamy zatem na rozporządzenie ministra handlu, a także na Wasze akcje. Niech ten Międzynarodowy Rok Inwalidów i Osób Niepełnosprawnych będzie dla harcerzy okazją do troskliwego rozejrzenia się wokół siebie: kto z Waszego sąsiedztwa, środowiska potrzebuje Waszej pomocy, jak tę pomoc można zorganizować. Czekamy na Wasze propozycje, meldunki i listy.

HANNA MIERZEJEWSKA

Należy zapewnić jak największą pomoc instytucjonalną dla rozmaitych spontanicznych inicjatyw – wychodzących zarówno ze środowiska ludzi zdrowych jak niepełnosprawnych – dotyczących rozmaitych form spędzania czasu wolnego, wycieczek turystycznych, wypraw do kin i teatrów, własnej działalności artystycznej itd. Organizacja czasu wolnego inwalidów jest bowiem jednym z najmocniejszych środków, jakimi dysponuje rehabilitacja środowiskowa.

*

W zbiorowości inwalidów znacznie wyższy niż wśród ogółu ludności jest udział ludzi żyjących samotnie.

*

Według danych szacunkowych ludzie niepełnosprawni w Polsce stanowią ok. 14 proc. ogółu ludności.

Z EKSPERTYZY KOMITETU REHABILITACJI I READAPTACJI CZŁOWIEKA PRZY POLSKIEJ AKADEMII NAUK

Zatoka śmierci

Fotoreportaż WOJCIECHA WRÓBLEWSKIEGO

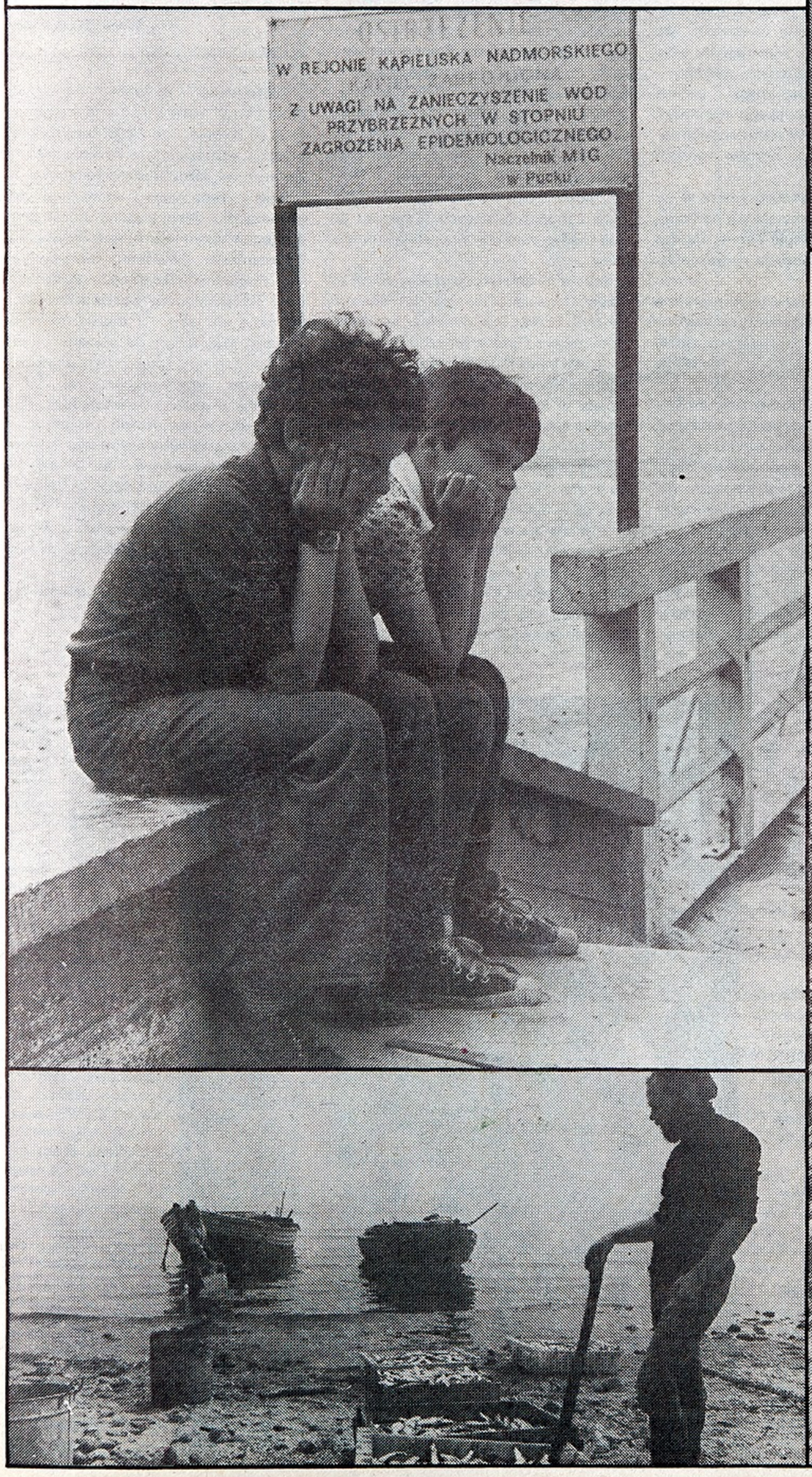

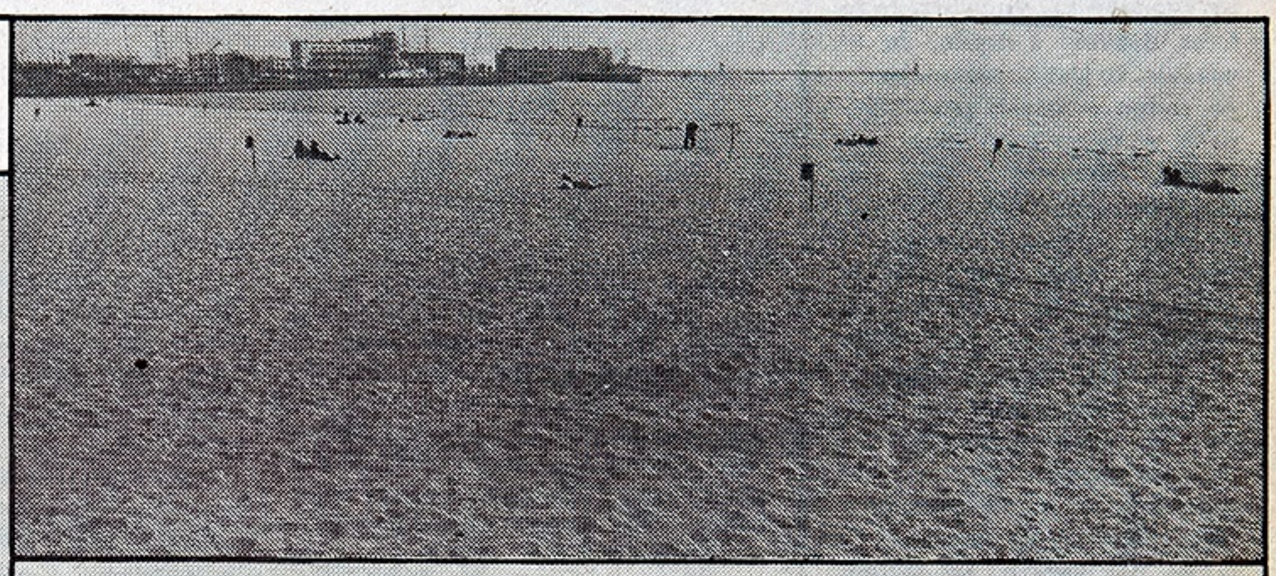

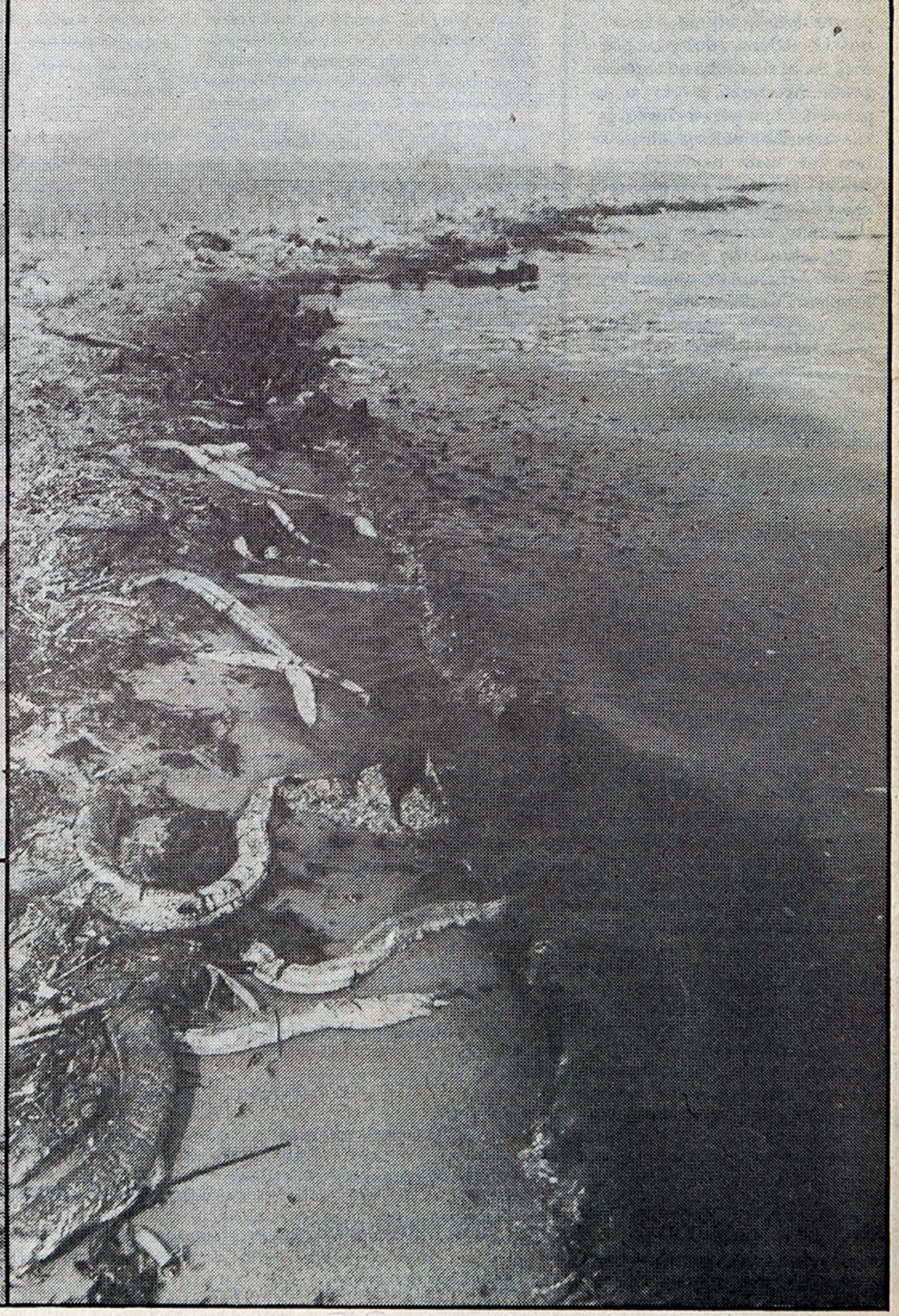

No i mamy za sobą ten rok. Ufff, ufff, ufff! Końcówka może i nie była zbyt błyskotliwa (te sprawności!!!), ale w sumie, myślę, wypadło nie najgorzej. I nie tylko ja tak myślę. Jest to zdanie wszystkich dziewczyn należących do zastępu „Wiewiórek". Wczoraj miałyśmy taką zbiórkę podsumowującą, taką już wakacyjną bardziej, taką na luzie. Nigdzie się nikt nie spieszył więc sobie siedziałyśmy i gadałyśmy. Bo było nam ze sobą dobrze. I myślę, że to właśnie, to jest najważniejsze – że mimo różnych przeżywanych w ciągu tego roku krachów i kryzysów lubimy się. Właściwie, to powinnam powiedzieć – polubiłyśmy się, bo przecież kiedy zaczynałyśmy we wrześniu, to na dobrą sprawę tylko dwie Beaty przyjaźniły się ze sobą a reszta, to byłyśmy takie... różne pojedyńcze dziewczyny. I dlatego, choćby rada drużyny nie wiem jak nad nami wybrzydzała z powodu tych nieszczęsnych sprawności, to ja im nie wierzę, bo jestem przekonana, że ten rok był dla naszego zastępu dobry. Po prostu dotarłyśmy się, a sprawności będziemy zdobywać później. Świat się chyba od tego nie zawali. Być może, jest to (to, co powiedziałam przed chwilą) jakaś straszliwa herezja, ale ja się tym nie mam najmniejszego nawet zamiaru przejmować, mam w końcu na głowie ciamciaramcia, ważniejsze sprawy.

Ot, chociażby problem, co zrobić z czasem do obozu. Wyjeżdżamy dopiero 6 lipca i prawie wszystkie (poza Wandą, która jutro wyjeżdża do rodziny) zostajemy w domu. Wczoraj na ten temat trochę rozmawiałyśmy, ale pomysły padały takie bardziej banalne – spacery, dłuższe wycieczki, lody, kino, plaża jak będzie pogoda... Tak w gruncie rzeczy, to niby czemu nie, wszystko to są przecież czynności bardzo przyjemne, ale mnie się w skrytości ducha marzy coś... No właśnie, tak dokładnie, to nie wiem co (jakbym wiedziała, to bym powiedziała przecież), ale coś super ekstra mam na myśli. I są to chyba nie tylko moje marzenia, bo widziałam, że wczoraj Aśka też nie wyglądała na najbardziej zachwyconą perspektywą spędzania czasu między plażą, kinem a lodziarnią. Trzeba będzie do tego wrócić jeszcze, może poradzić się kogoś starszego. Na razie na głowie mamy przygotowania do wielkiego rautu, który wydajemy z okazji imienin Jolki.

Oczywiście Jolki imieniny, to tylko jeden z powodów. W gruncie rzeczy chodzi o powitanie wakacji, ale doszłyśmy do wniosku, że warto jedno z drugim połączyć. No bo skoro mamy swój własny kąt, to powinnyśmy świętować swoje święta. I tak się złożyło, że to właśnie Jolka idzie na „pierwszy ogień". Będzie bal...

GRAŻYNA

Z Poniatowej do Ankary...

▲ *Scholares Minores Pro Musica Autiqua na schodach mauzoleum Ataturka...*
Fot. **Witold Danielewicz**

Zespół Scholares Minores Pro Musica Antiqua z Poniatowej pod kierownictwem Danuty i Witolda Danielewiczów brał udział w „Dziecięcym Festiwalu im. 23 Kwietnia" w Ankarze. Poprosiłem Witolda Danielewicza o podzielenie się z wami wrażeniami z tej wyprawy...

15.05.81. Godzina 8,00. Szkolny autobus opuszcza wraz z zespołem Poniatową. W Warszawie na Okęciu jesteśmy ok. 13,00. Jednakowo ubrani w żółte bluzy, jeansowe kapelusze, z jednakowymi czerwonymi walizkami z napisem Scholares Minores pro Musica Antiqua – Poniatowa – Poland. Formalności celne i paszportowe. Teraz oczekiwanie na samolot. Odlot o 15,00. Komunikat o opóźnieniu – jest 15.30. Jeśli opóźnienie zwiększy się to możemy wracać do Poniatowej – nie zdążylibyśmy na pociąg do Sofii. Z niepokojem czekamy na następny komunikat... nareszcie jest... szybko do autobusu... dojeżdżamy do samolotu... sadowimy się w fotelach... startujemy – jest 16,15... zdążymy... ufff!!! W samolocie na szczęście nikt nie używa torebek przeznaczonych dla mniej wytrzymałych. Już Sofia. Przedstawiciel Ambasady Polskiej w Sofii, po przywitaniu, kieruje nas do autobusu przewożącego nas na dworzec kolejowy. W noszeniu bagaży pomagają nam polscy studenci uczący się w Bułgarii. Nareszcie w pociągu... pełny komfort... mamy kuszetki. Opuszczamy Bułgarię – na granicy pierwszy kontakt z Turkami. Celnicy witają nas bardzo miło. Nad ranem wjeżdżamy do Istambułu. Pierwsze wrażenia nie są najwspanialsze. Jedziemy przez dzielnice slumsów... z niepokojem myślimy o przyszłości. Na dworcu w Istambule oczekuje nas przedstawiciel organizatorów Hilmi. Prowadzi nas do autokaru, którym opuszczamy Europę przez słynny most na Bosforze. Wjeżdżamy do Azji. Pierwszy postój i pierwszy posiłek w Azji bardzo smakuje. Jedziemy. Czeka nas długa podróż – ok. 500 km do Ankary, stolicy Turcji. Wieczorem postój i tradycyjna turecka herbata – przed herbaciarnią polskie zabawy... Labado, Laurencjo i in. Turcy obserwują nas z podziwem... brawa... kilka piosenek... znowu oklaski. Autokar... widoki za oknem inne niż u nas... inny typ zabudowy, inna roślinność – egzotyka. O północy wjeżdżamy do Ankary. Pod szkołą oczekują nas przyszli opiekunowie u których mamy mieszkać przez następne 2 tygodnie. Z drżeniem oczekujemy na „przydział"... po serdecznych powitaniach i ucałowaniach lody przełamano. Może będzie dobrze?! Na dziś dość – szybko do domów i do łóżka.

Piątek – dzień wolny. Wysypiamy się, kąpiemy... potem do miasta. Zwiedzać, zwiedzać, zwiedzać... co się da – wąskie i szerokie ulice, parki i muzea, lunaparki i ogrody zoologiczne.

Sobota – także wolna, to samo co w piątek tylko w większych ilościach.

W niedzielę bankiet zapoznawczy dla wszystkich zespołów w hotelu Kent. Bawimy się przy zespole rockowym. Nie jesteśmy gorsi – też wykonujemy kilka piosenek z towarzyszeniem zespołu – otrzymujemy ogromne oklaski – po nas inne zespoły też próbują zaprezentować swoje umiejętności. W szampańskich nastrojach wracamy do domów naszych opiekunów.

Poniedziałek – o 14,00 nagranie w tureckiej TV. Nagrywamy scenkę pantomimiczną o Królu Fajtłapie I-szym. Bardzo się podobamy. Propozycja nagrań w Istambule.

Wtorek – o 17,00 koncert w Ambasadzie Polskiej w Ankarze. Najwięcej zachwytów wzbudza polonez... bisujemy prosząc do tańca obecnych gości... po koncercie przyjęcie...

Środa – jedziemy do mauzoleum Ataturka – przywódcy narodu tureckiego. Ataturk stworzył państwo tureckie w jego obecnym kształcie, wyprowadził Turcję z zacofania gospodarczego i społecznego. Po południu próba koncertu telewizyjnego w hali sportowej. Po próbie Kaśka z p. Danielewiczem idą na przyjęcie wydane przez Dyrektora Tureckiej Telewizji (TRT).

Czwartek – bierzemy udział w wielkim pochodzie dzieci i młodzieży. Wszystkie zespoły w barwnych strojach, tańcząc, wchodzą na olbrzymi stadion. Grzesiek niesie tablicę z napisem POLONYA (po turecku – Polska), a Zbyszek polską flagę. Aplauz i okrzyki Polonia, Polonia na trybunach. Po południu transmisja (na Eurowizji) naszego koncertu z hali sportowej.

Piątek – wielki piknik dla wszystkich uczestników Festiwalu. Gry i zabawy – dla chętnych hauka tańców tureckich przy akompaniamencie miejscowej orkiestry... potem pokazy skoków spadochronowych i modeli latających. Z pikniku do dziś mamy pamiątki w postaci... opalenizny.

Sobota – dwa koncerty dla dzieci ze szkoły, która nas przyjmowała. Oklaskom nie było końca... Po południu spotkanie z premierem Turcji w gmachu Parlamentu. Krótki koncert i miła pogawędka z premierem. Wymieniamy upominki... Kaśka wpięła w klapę premiera polską flagę, z którą chodził przez cały wieczór. Tort wielkości szafy... moc kanapek i coca-coli. Potem zabawa. Wieczorem po powrocie do domów nie wierzymy własnym oczom – na ekranie Zbyszek – ekipa telewizyjna „nakręcała" go w domu jego opiekunów.

Niedziela – koncert w Parku Młodzieży – wielkie tłumy. Tu spotykamy polskie małżeństwo z synem Grześkiem (tu pracują) – zapraszają nas do siebie – jedziemy – wspólne śpiewy i zabawy przy pepsi.

Poniedziałek – to już!!! – wieczorem odjeżdżamy. Pakujemy się intensywnie. O 22,00 zbiórka... do 24.00. trwają pożegnania... wszyscy płaczą. Za naszym autokarem przez kilkadziesiąt kilometrów jedzie kawalkada samochodów z naszymi opiekunami... jeszcze jeden uścisk, jeszcze jeden upominek. Rano przybywamy do Istambułu. Zwiedzamy Błękitny Meczet, Hagia Sofia, Belerbey Serai. Co jeszcze... Nie pamiętamy wszystkich nazw – mieszają się pałace i muzea, meczety i place. Wieczorem do pociągu... czas opuścić gościnną i piękną ziemię turecką. Śpiewamy „powrócimy tu za rok...". Rano Sofia. Koncert w Ambasadzie Polskiej... wszyscy wzruszeni... gratulacje.

Ok. 16,00 jedziemy na lotnisko. Kontrola celna i paszportowa... już lecimy. Na Okęciu plus 3 stopnie C. Różnica 30 stopni – w Ankarze było plus 33 stopnie C. Rodzice czekają już... uściski i całusy... jak tam było... bardzo fajnie... chcielibyśmy tam powrócić jeszcze raz.

Autobus rusza... o 24,00 w Poniatowej – jednak to miłe miasto.

Jutro do szkoły... uuuuuu!

Młodzi młodym...

Świat Muzyki
GAZETA MELOMANÓW
Redaguje LECH NOWICKI

RAWA – BLUES '81

Na przełomie kwietnia i maja Śląski Jazz – Club oraz katowickie kluby studenckie „Akcent" i „Kwadraty" zorganizowały ogólnopolski meeting bluesowy z udziałem Jacka Skubikowskiego, Macieja Pietrzacho, Elżbiety Mielczarek, zespołów Puck Up, Easy Rider, Mietek BB., Dżem i Kwadrat z Ireneuszem Dudkiem. Niepowtarzalna atmosfera wszystkich występów, wzajemna inspiracja muzyków zaowocowały pełną gamą artystycznych przeżyć. Katowicka impreza ma szanse stać się na krajowym forum tym, czym był swego czasu poznański Folk Blues Meeting.

JAROCIN '81

Dziś finał zapowiadanego przeze mnie Ogólnopolskiego Przeglądu Muzyki Młodej Generacji w Jarocinie, będącego najpoważniejszym sprawdzianem dla amatorów uprawiających wszelkie odmiany muzyki rock, od country po new wave. Najlepszym uczestnikom przeglądu, jego współorganizatorzy – twórcy ruchu Muzyki Młodej Generacji – starają się ułatwić promocję na krajowym rynku muzycznym. Występ w Jarocinie jest pierwszym etapem cyklu promocyjnego, obejmującego m. in. dwukrotny udział w Pop Session, łódzkim Rockowisku i poznańskiej Rock Arenie.

MAŁGORZATA ZAWADZKA

... pochodzi z Torunia, mieszka w Warszawie, gdzie uczy się w Państwowej Szkole Muzycznej II-ego stopnia im. Fryderyka Chopina (wydział piosenkarski). Na estradzie debiutowała w roku 1980, kiedy to zdobyła miejsce w Złotej Dziesiątce IV Młodzieżowego Festiwalu Piosenki oraz pierwszą nagrodę w koncercie Debiuty Opole '80. Uczestniczyła także w międzynarodowym festiwalu piosenki krajów nadbałtyckich w Karlshamn, gdzie zdobyła Grand Prix.

Fot. **Ryszard Radowiecki**

Choć roboty na Zamku ciągle jeszcze trwają...

JUŻ NIEDŁUGO POWITA PIERWSZYCH ZWIEDZAJĄCYCH

WARSZAWA (PAP). Za kilka tygodni rozpocznie się stopniowe udostępnianie zwiedzającym poszczególnych pomieszczeń Zamku Królewskiego w Warszawie. Będą to sale parterowe i tzw. przyziemia oraz zespół komnat na I piętrze.

Plan zagospodarowania wnętrz zamkowych przewiduje wyodrębnienie dziewięciu zespołów komnat, powiązanych ze sobą wspólną historią. Zwiedzanie Zamku rozpocznie się od Sieni Senatorskiej i dziewięciu sklepionych Sal Jagiellońskich, z których część wspiera się na piwnicy pochodzącej z czasów Zygmunta Augusta. Zespół ten, po kompletnym urządzeniu, posłuży prezentacji wnętrz XVI-wiecznych. Następny ciąg parterowy stanowią: sala dawnej kancelarii sejmowej i trzysłupowa sala izby poselskiej. Ich dzieje sięgają obrad Sejmu Mazowieckiego, następnie Koronnego, a od 1569 r. – Sejmu Rzeczypospolitej. Trzeci wreszcie zespół, z tych najwcześniej udostępnionych publiczności, stanowić będzie grupa Sal Wazowskich. Ostatni – dawna Kancelaria Grodzka, poświęcona będzie czasom panowania Jana III Sobieskiego.

W późniejszym terminie – chyba od przyszłego roku – udostępni się zwiedzającym kolejne sale wyposażone w zabytkowe meble, przedmioty, obrazy, rzeźby, tkaniny, sztukę użytkową. W szesnastu salach na II piętrze urządzony będzie skarbiec. Przed II wojną światową Zamek Królewski miał 28 sal o pełnym zabytkowym wystroju. Obecnie będzie ich przeszło 100. Przygotowuje się dla Zamku ponad 300 obrazów, 70 dzieł rzeźbiarskich, 65 arrasów, gobelinów, dywanów i haftów artystycznych.

Odbudowa Zamku Królewskiego dobiega końca, aczkolwiek trwają jeszcze skomplikowane prace malarskie w tak wspaniałych salach jak balowa, rycerska, audiencyjna. Bryła zamkowa o kubaturze ponad 100 tys.metrów sześciennych odtworzona została tradycyjną metodą budowlaną cegła po cegle. Nowe mury inkrustowane są przeszło czterema tysiącami fragmentów rzeźby architektonicznej z dawnego Zamku. Zachowała się też znaczna część wyposażenia apartamentów Stanisława Augusta Poniatowskiego; próbki autentycznych dekorcacji sztukatorskich i stolarskich zdobiących ściany i sufity, podłogi i drzwi, posłużyły do zrekonstruowania całości. Sędziwe detale, wkomponowane w odrestaurowane wnętrza, dziś jeszcze się wyróżniają z całości, ale z czasem staną się niewidoczne.

Jak wynika z ksiąg inwentarskich, ostatnie już elementy dawnego Zamku powracają na swoje miejsca. Wśród nich: rzeźbione i złocone listwy z Sali Rycerskiej, supraporty z Sali Tronowej i Audiencyjnej, boazerie z Sali Balowej, rozety, 55 skrzydeł drzwiowych i 47 okiennych z różnych sal. Detale te odnaleziono po wojnie na Wawelu w nieukończonym skrzydle północnym. Wespół z fragmentami przechowywanymi w Warszawie, przydadzą komnatom Stanisławowskim autentycznego klimatu i blasku. (tem)

Każdy znajdzie tu coś dla siebie. Zapraszam wszystkich, którzy są dobrymi obserwatorami, by dokładnie przypatrzyli się odbiciu konia u wodopoju. Pomóżcie też p. Kowalskiemu w rozwiązaniu dylematu z obrazkiem. Kłaniam się do soboty!

BEN AKIBA, gospodarz Abrakadabry

Kłopot z obrazkiem

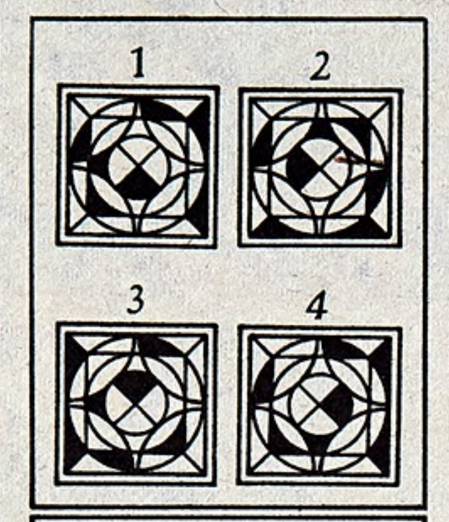

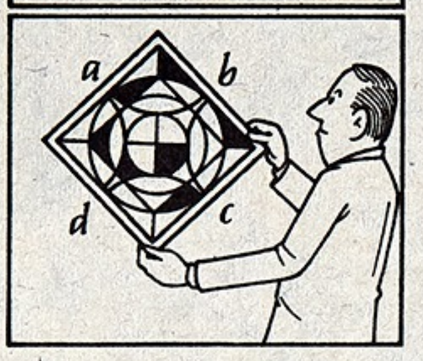

Pan Kowalski według wzoru w katalogu kupił sobie obrazek o geometrycznych wzorach. Zastanawia się teraz w domu, któremu numerowi odpowiada kupiony obrazek i którą krawędzią (a,b,c czy d) do góry ma go powiesić. Czy możesz skutecznie pomóc panu Kowalskiemu?

Popatrz na ten rysunek i postaraj się wyodrębnić wzrokiem te jego części, które oznaczono kropkami. Czy układają Ci się w jakąś całość – wizję? Teraz weź mazak lub ołówek i starannie zamaluj tylko te obszary z kropkami. Otrzymasz gotowy obrazek, jak w teatrze cieni.

TEATR CIENI ABRAKADABRY

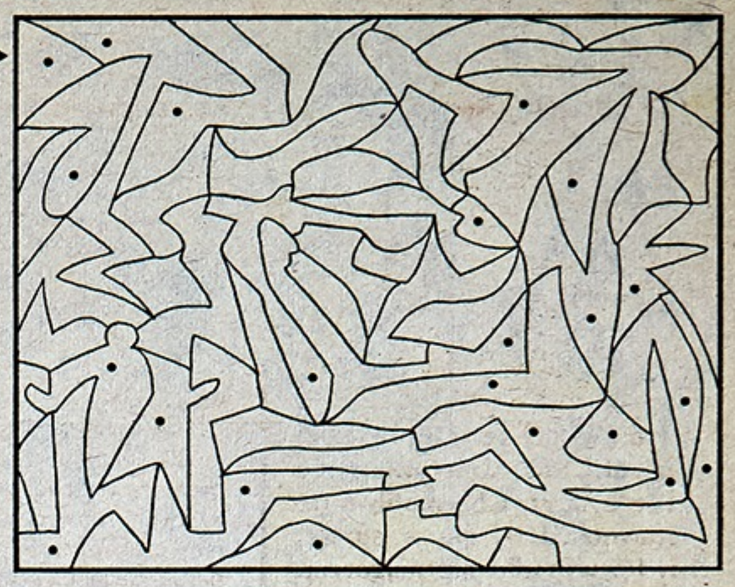

TA-JEM-NI-CZE DZIAŁANIA

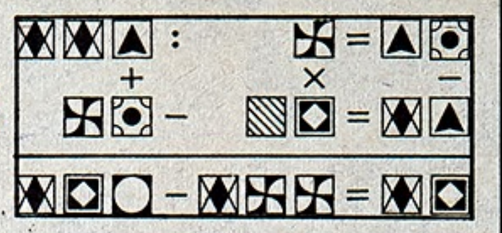

W tym układzie rysuneczków zaszyfrowane są matematyczne działania na liczbach. Każdy rysuneczek – to jedna cyfra. Powtarzające się w tym układzie takie same rysuneczki oznaczają powtarzające się takie same cyfry. Działania wykonujemy zgodnie z ich znakami, zarówno w kierunku poziomym, jak i pionowym. Start!

ODPOWIEDZI Z POPRZEDNIEJ SOBOTY:

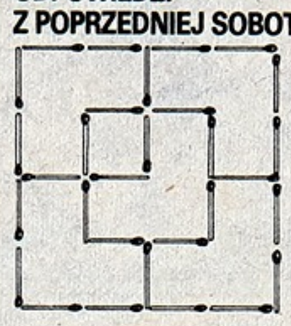

1450 – 55 = 1395
– – +
1407 : 21 = 67
43 × 34 = 1462

TAJEMNICZE DZIAŁANIA, PALMOWY GAJ: rozwiązania obok. ZNAJDŹ DZIESIĘĆ RÓŻNIC: 1) klucz w drzwiach, 2) odwrócony dzbanek na stole, 3) wyciągnięty z kontaktu przewód od telewizora, 4) zbita miska na szafce, 5) jedna z szuflad wysunięta, 6) brak jednej żarówki w żyrandolu, 7) utrącony ogon konia na kominku, 8) bierwiona w kominku bardziej wypalone, 9) szczotka jest nad gazetą, 10) szufelka do śmieci jest bardziej pełna.

U WODOPOJU ▶

W tym obrazku nie byłoby nic szczególnego, ale przewrotny autor rysunku celowo popełnił aż 7 błędów w dolnej jego części, a więc w odbiciu w wodzie – w porównaniu z jego częścią górną. Znajdź te błędy w pięć minut!

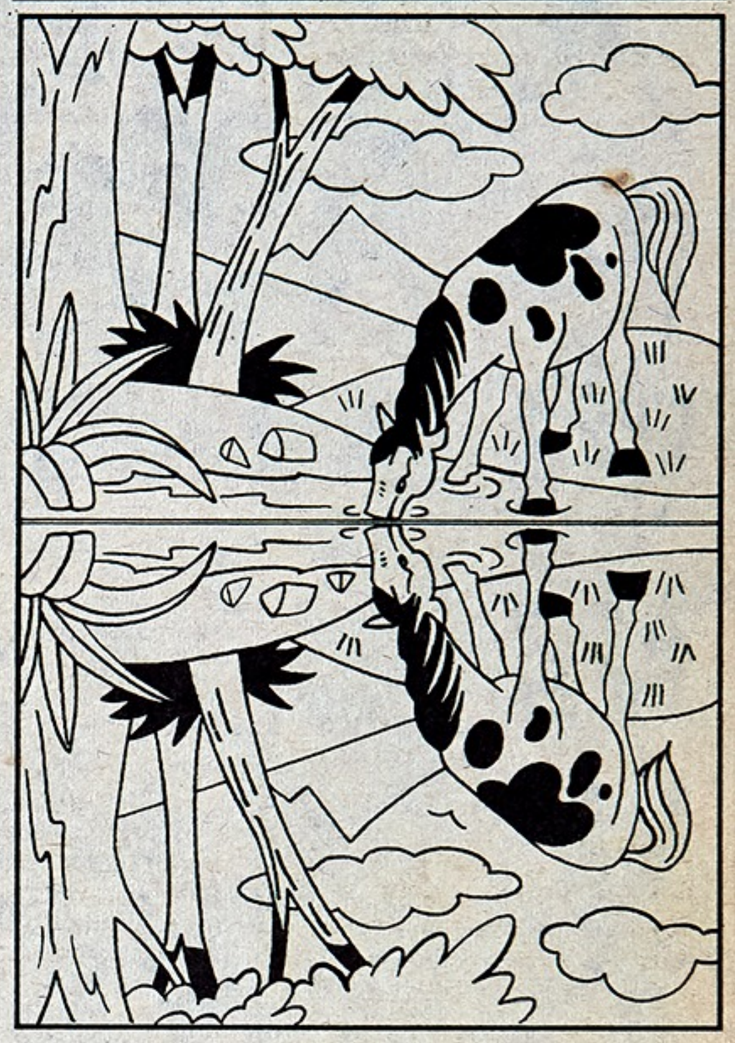

1	2	3	4	5	6	7	8	9	10
11	12	13	14	15	16	17	18	19	20
21	22	23	24	25	26	27	28	29	30
31	32	33	34	35	36	37	38	39	40
41	42	43	44	45	46	47	48	49	50
51	52	53	54	55	56	57	58	59	60
61	62	63	64	65	66	67			

Zadanie premiowane nr 339

SZYFROGRAM

Odgadnij 10 wyrazów o podanych znaczeniach, zastąp liczby literami, a te z kolei przenieś do diagramu i rzędami poziomymi odczytaj rozwiązanie – przysłowie ormiańskie. Napisz je na kartce pocztowej i prześlij w ciągu 7 dni od daty tego numeru pod adresem: „Świat Młodych", Mokotowska 24, 00-561 Warszawa, „Zadanie premiowane nr 339".

Prawidłowe rozwiązania wezmą udział w losowaniu nagród.

ZNACZENIE WYRAZÓW:

1) pokonanie nieprzyjaciela, wygranie wojny = 8–1–21–48–12–59–24–52–11–4–, 2) rzemieślnik zajmujący się wyrobem wozów = 14–16–5–35–64–36–41–2–46–, 3) warstwa liści i innych resztek roślinnych, pokrywająca glebę w lesie = 39–32–66–53–9–51–33–, 4) rozpoczyna rok = 3–25–6–7–60–45–31–, 5) wielka rzeka syberyjska; przepływa przez Krasnojarsk = 22–23–20–44–47–67–37–, 6) wkładane na grzbiet konia wierzchowego = 57–58–30–26–29–18–, 7) wyruszenie w podróż pociągiem, autobusem = 50–55–63–42–65–17–, 8) materiał skalny naniesiony przez lodowiec = 43–10–54–49–61–38–, 9) pływalnia = 19–62–28–13–40–, 10) kursuje między Świnoujściem a Ystad = 15–34–27–56–.

ROZWIĄZANIE ZADANIA PREMIOWANEGO NR 335
z 58 numeru „Świata Młodych" z dnia 16.05.1981 r.

Prawidłowe rozwiązanie – Prawoskośnie: pagoda, zbieranie, nagana, bielinek, szczecina, przewijanie, lama, kiwi, skojarzenie, magazyn, pomada, karnacja, kalendy, wagonik, wylot, słonie. **Lewoskośnie:** paki, zbiegowisko, narada, bieganie, szczelina, przecinek, lawina, Maja, niewygody, Jasło, marzenie, poganie, karmazyn, Kanada, Walencja, lotnik.

Nagrody wylosowali:
Joanna Bielacka Anna Dul Krzysztof Kot Piotr Grzechowiak Anna Pławska Robert Polczyński Piotr Sosin Katarzyna Smiech Tomasz Zadrożny Leszek Zych

W niecałe pół godziny nad burtą „Northern Huntera" piętrzy się wysoki nasyp i zawisa nad pokładem. Co chwila któraś bryła odrywa się i leci na statek. Stojące sztorcem płyty lodowe, z których każda mogłaby zakryć pół pokładu, trzeszczą i chwieją się złowrogo.

Burta ugina się pod naporem przygniatającego ją ciężaru. Wysokim tonem jęczy stal.

Ludzie wydostający zapasy żywności z ładowni czują się jak w stalowym grobie. Dudnienie spotęgowane zamkniętą przestrzenią wzmaga lęk. Po minutach wlokących się nieskończenie, bosmani nakazują opuszczenie zagrożonej części pokładu oraz ładowni.

– Nadać S.O.S. Brand, podajcie pozycję – sucho mówi Stevens.

Kid zbiega do radiokabiny.

Następny rozkaz Stevensa brzmi:

– Opuścić statek!

Pozostają jedynie oficerowie, bosmani Horn i Kingsby oraz radiotelegrafista.

„Northern Hunter" gwałtownie chyli się na lewą burtę. Opadający lód miażdży nadburcie, wgniata przepierzenie nadbudówki. Zagraża masztom.

Spocony Fin, pochylony nad kluczem, śle w noc sygnały Morsego. Przełącza aparaturę na odbiór i wsłuchując się w eter czeka na potwierdzenie swego sygnału „do wszystkich".

Ponury Stevens patrzy na lśniące, szkliste bryły walące się na statek. Przechył wzrasta. Lody napierają również poniżej linii zanurzenia. Trawler trzeszczy, dygocze w każdym spojeniu.

Reflektory, jak ślepia rannego zwierzęcia, patrzą na lodozwał i rzucają placki światła na ludzi uwijających się przy stercie zapasów awaryjnych.

– Czas już, proszę pana! – napomina Brand. – Lada chwila zniesie nadbudówki!

Stevens powstrzymuje go ruchem ręki. Patrzy na zalany światłem do połowy zasypany pokład, na migocące, lśniące odblaskiem bryły lodu. Nagłe mrugnięcie: to gaśnie zdruzgotany reflektor.

– Tak, już czas! – mówi Stevens nieswoim, ochrypłym głosem.

Pośpiesznie schodzą z pomostu.

– Olaf! – przypomina szyper.

Brand śpieszy do radiokabiny. Fin tkwi przy aparaturze. Nie słyszy Branda. Na uszach ma słuchawki. Szarpnięty, gwałtownie się odwraca. Twarz lśni mu potem. Wściekle macha ręką i znów pochyla się do aparatury.

– Rzuć to! – krzyczy Brand. – Wszyscy opuścili już pokład!

Fin odchyla słuchawkę, patrzy mglistym, nieobecnym wzrokiem.

– Dajcie mi spokój! – parska. – Nie przeszkadzajcie, do cholery! – znów pochłaniają go przenikliwe tony Morsego.

Brand jest niezdecydowany. Wyskakuje z kabiny.

Fin nawet nie chce słyszeć o opuszczeniu stanowiska – melduje.

Stevens sam śpieszy do kabiny.

– Opuść starek! – krzyczy do Fina.

– Nie mogę! – odpowiada kędzierzawy Olaf. – Radio – wskazuje na aparat – będę przy nim do końca!

– Już jest koniec! – krzyczy Stevens. – Chodź, bo weźmiemy siłą.

Fin ostentacyjnie odwraca się.

Kingsby i Brand unoszą wierzgającego radiotelegrafistę. Krzyczy, tłucze ich pięściami i kłnie, aż uszy puchną.

* * *

Na lodzie załoga partiami odciąga sprzęt jak najdalej od statku. Naprężone liny holują szalupy wielorybnicze. Łowcy, jak afrykańscy tragarze, przenoszą na głowach paki i worki. Oświetlenie dają bezładnie rozstawione lampy huraganowe. Z pokładu biją jeszcze dwie smugi reflektorów.

Pusty statek robi przygnębiające wrażenie. Leży w ostrym przechyle na lewą burtę. Piony masztów sterczą w niezwykłej pozycji. Czarny kadłub przypomina trumnę. Słychać szurgot, jak gdyby tysiące wozów zsypywało węgiel.

Załoga przypomina stado wilków rozwścieczonych głodem. Nerwy są napięte do ostateczności. Rozzłoszczeni ludzie krzyczą z lada powodu, klną wszystko i wszystkich.

Ten przypomniał sobie, że zostawił w kubryku część garderoby, tamten pamiątkę, innemu dokucza głód.

– Znajdujemy się dwieście trzydzieści mil od wybrzeży Labradoru – oblicza Brand.

Fin ochłonął już z podniecenia i udziela szyprowi wyjaśnień.

– Najbliżej jest ten Jankes, którego goniliśmy. Potwierdził odbiór sygnału, ale też nie może się ruszyć. Zakuty w lodach. Sam zaczął krzyczeć o pomoc.

Cdn.

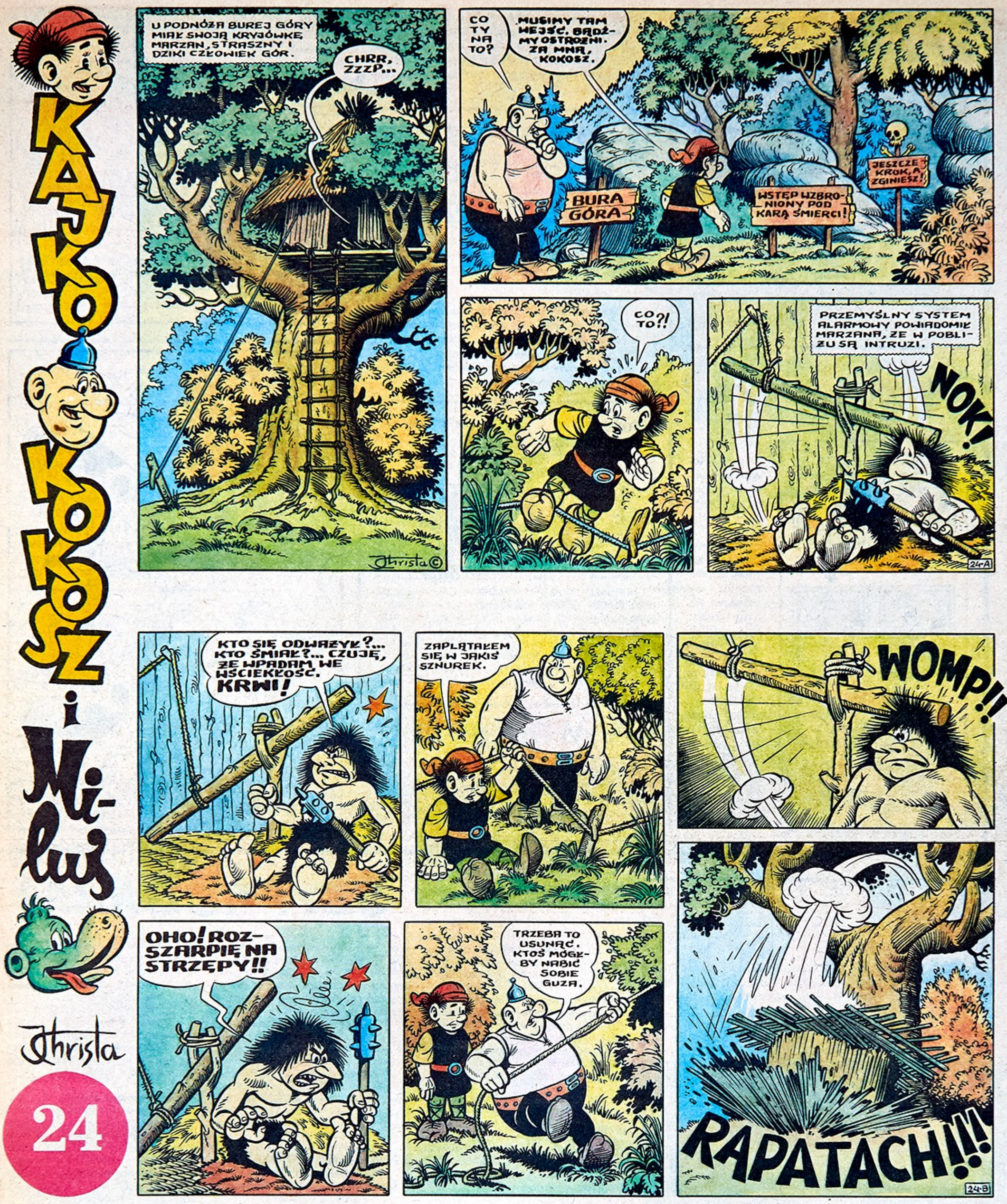

ŚWIAT MŁODYCH
MARCERSKA GAZETA NASTOLATKÓW

ADRES REDAKCJI, ul. Mokotowska 24, 00-561 Warszawa
ADRES ODDZIAŁU: ul. Rynek 13, 40-003 Katowice (tel. 53-77-33 telex 031556
UKAZUJE SIĘ WE WTORKI CZWARTKI I SOBOTY.
REDAGUJE KOLEGIUM: Stanisław Borowiecki (zastępca red. nacz.), Jerzy Dąbrowski, Maria Jaworska (sekretarz redakcji), Jerzy Kowalkowski, Teresa Maciszewska, Jerzy Majka (redaktor naczelny), Krzysztof Masłoń, Krzysztof Potrzebnicki, Zdzisław Przybyłowski, Ryszard Ratajczyk, Barbara Skórska, Marzena Wierzcholska (zastępca red. nacz.)
TELEFONY
Red. naczelny 21-15-61
Sekr. redakcji 28-25-48
Dział Łączności z Czytelnikami 21-81-13
TELEX 81-36-58
Nie zamówionych materiałów redakcja nie zwraca.
WYDAWCA – RSW „Prasa-Książka-Ruch" Młodzieżowa Agencja Wydawnicza 00-564 Warszawa, ul. Koszykowa 6A. Telefony: Dyrektor 28-09-73. Dział Wydawniczy 29-35-52.
Prenumerata krajowa, miesięczna 19,50 zł, kwartalna 58,50 zł, półroczna 117 zł, roczna 234 zł. Od instytucji i szkół miast wojewódzkich i gmin prenumeratę przyjmują wyłącznie miejscowe oddziały i delegatury RSW „Prasa-Książka-Ruch" w terminie do 25 listopada na rok następny. Od instytucji, szkół w miejscowościach, gdzie nie ma delegatur RSW „Prasa-Książka-Ruch" oraz od wszystkich prenumeratorów indywidualnych prenumeratę przyjmują wyłącznie miejscowe urzędy pocztowo-telekomunikacyjne oraz listonosze w terminie do 10 dnia miesiąca poprzedzającego okres prenumeraty.
Prenumeratę ze zleceniem wysyłki za granicę przyjume RSW „Prasa-Książka-Ruch", Centrala Kolportażu Prasy i Wydawnictw ul. Towarowa 28, 00-958 Warszawa, konto NBP XV O/Warszawa Nr 1153 201045-139-11.
Prenumerata ze zleceniem wysyłki za granicę jest droższa dla zleceniodawców indywidualnych i o 100 proc. dla zlecających instytucji i zakładów pracy.

Opracowanie graficzne
Szarlota Pawel

Opracowanie techniczne
Anna Dąbrowska

DRUK: Zakłady Graficzne Dom Słowa Polskiego

Nr zam. 3284/G **L-95**

NIE ZAPOMNIJ OTO NASZ POCZTOWY 00-561

62

łowcy fok

Huk i dygotanie przypomina nawał ognia artyleryjskiego.

Ludzie kujący otwory na ładunki dynamitu co chwilę rzucają spłoszone spojrzenia na lodozwał. Jest tuż, tuż. Wydaje się, że okropny nawis bryl za chwilę runie wprost na statek.

Lód jest oporny jak granit. Ludzie dyszą z wysiłku, koszule przylepiają im się do grzbietów.

– Hej, hop! Hej, hop! Hej, hop!

– Za płytko! – krzyczy Horn, przygotowujący wiązki lasek dynamitu – Mocniej, chłopcy! To musi być fest wyrzut, inaczej pestka!

Jakże twardy jest lód. Ramiona bolą. Pieką ręce. Ludzie tłuką z coraz większą pasją i zapamiętaniem.

– Hej hop! Hej hop! Hej hop!

* * *

Trzy szeregi ludzie wyładowywały ze statku na lód zapasy żywności, cztery szalupy oraz tuzin łódek dwuosobowych. Na brezentowej płachcie rósł stos worków i skrzyń.

Radiotelegrafista alarmował statki żądając pomocy.

Popłoch i gorączkowe ratowanie własnego dobytku minęły. Łowcy zbiorowym wysiłkiem dążą do zabezpieczenia się na wypadek, gdy lód będzie ich jedyną ostoją.

Tymczasem po drugiej stronie statku dynamiterzy szykują ładunek materiału wybuchowego. Być może, uda się wstrzymać pochód lodowego szańca.

Otwory są gotowe. Dynamiterzy z ulgą powracają na statek. Zostaje tylko Horn z dwoma pomocnikami. W głąb lodowych tuneli spuszczają ładunki przywiązane do drewnianych tyk. Otwory blokują bryłami lodu.

Horn zgrabiałymi palcami nerwowo podłącza kable. Pomaga sobie zębami. Skręca drut. Izoluje go. Ruchy jego są niespokojne. Tuż przy nim z trzaskiem ląduje półtonowy lodowy głaz.

„Żeby tylko nie poprzecinało kabli!" – myśli, mozoląc się z nakrętką, która nie natrafia na gwint.

Na wpół zgięty, wycofuje się ku statkowi unosząc skrzynkę detonatora.

Jest już najwyższy czas. Sypiąca się lawina lodów zakrywa otwory strzelnicze.

Stevens patrzy z pomostu na linię wału. Czeka na odpowiedni moment.

Nie opodal statku przykucnął Horn. Trzymając ręczkę detonatora, wpatruje się w szypra.

Tragarze przenoszący zapasy zamierają, wpatrzeni w górę, która wyrasta już ponad burty statku.

Stevens podnosi rękę i opuszcza ją.

Horn odruchowo wtula głowę w ramiona – naciska rączkę detonatora.

Kołysze się niebo, kołyszą się lody i statek. Tryskają fontanny lodowych okruchów. Wzdłuż wału tryskają gejzery wody. Lód, pokład, nadbudówki bombarduje grad wzniesionych podmuchem okruchów lodu.

Wszyscy z napięciem patrzą na wał, który jak gdyby utknął w swym pochodzie, rozlazł się, stopniał.

Ładunki zrobiły swoje. Wprawdzie na skrzydłach lodozwał wytrwale sunie przed siebie, jednak w części środkowej, bezpośrednio zagrażającej trawlerowi, panuje bezruch.

Tragarze sarkają, lecz na rozkaz Stevensa nadal uginają się pod ciężarem worków i skrzyń. Szeregami schodzą na lód po sztormtrapach, zrzucają ładunek i wracają po nowy. Wydaje im się, że wypróżniają cały statek.

* * *

Lodozwał znów ruszył. Środkowa jego część prze naprzód, jakby chciała odrobić chwilę bezruchu. Wygięty w łuk szaniec rośnie, a wraz z nim rośnie lęk patrzących.

Dokończenie na str. 7